

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Guy de Maupassant

Dom pani Tellier
Opowiadania

WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2001

Spadek

1

Mimo że nie było jeszcze godziny dziesiątej, urzędnicy napływali tłumnie pod główną bramę Ministerstwa Marynarki, przybывая w pośpiechu ze wszystkich zakątków Paryża, zbliżał się bowiem Nowy Rok, czas gorliwości i awansów. Dudnienie szybkich kroków nappełniało rozległy budynek, zawiły na kształt labiryntu i pocięty krętymi korytarzami, skąd niezliczone wejścia prowadziły do biur.

Każdy wchodził do swej komórki, ścisnął dłoń wcześniej przybyłego kolegi, zdejmował surdut, wkładał stare ubranie robocze i zasiadał przed swym biurkiem, gdzie oczekiwały nań stłoczone papiery. Później udawano się po nowiny do sąsiednich wydziałów. Dowiadywano się przede wszystkim, czy naczelnik już przybył, czy ma dobry humor i czy poczta jest dziś obfita.

Pan Cezar Cachelin, sekretarz „od spraw ogólnych”, był podoficer marynarki kolonialnej, który z biegiem czasu dosłużył się niezłej rangi, wciągał do wielkiej księgi pocztę, którą właśnie przyniósł woźny ministerialny. Naprzeciw niego kopista, ojciec Savon, stary głupiec, osławiony w całym ministerstwie wskutek swych niepowodzeń małżeńskich, przepisywał powoli i systematycznie depeşe naczelnika. Przechyliwszy na bok tułów i spoglądając co chwila na brulion, siedział w pozie skrupulatnego skryby.

Pan Cachelin, tęgi mężczyzna, na którego czaszce jeżyły się siwe i krótkie włosy, mówił nie odrywając się od swych zajęć codziennych:

– Trzydzieści dwie depeşe z Tulonu. Ten port przesyła nam ich tyle co cztery inne razem wzięte.

Potem zadał ojcu Savon pytanie, które kierował doń co rano.

– Ojcie Savon, jak się miewa małżonka?

Stary odpowiedział nie przerywając roboty:

– Wie pan dobrze, że ten przedmiot jest dla mnie bardzo przykry.

Sekretarz począł się śmiać tak, jak śmiał się codziennie słuchając tej samej odpowiedzi.

Otworzyły się drzwi i wszedł pan Maze. Był to przystojny brunet, ubrany z przesadną elegancją, a uważający się za zdeklasowanego, sądził bowiem, że zajmowane przezeń stanowisko nie odpowiada jego powierzchowności i manierom. Nosił ciężkie pierścienie, ciężki łańcuch od zegarka i monokl, ten ostatni jednak tylko dla parady, ponieważ zdejmował go do pracy. Poruszał często rękami i błyszczącymi spinkami.

– Dużo dziś pracy? – zapytał od drzwi.

– Tak, z Tulonu, jak zawsze – odpowiedział pan Cachelin. – Od razu widać, że nadchodzi Nowy Rok. Tam się dopiero starają!

Zjawił się inny z kolei urzędnik, pan Pitolet, figlarz i dowcipniś.

– To znaczy, że my się nie staramy? – zapytał ze śmiechem.

Wydobywszy zaś zegarek oznajmił:

– Za siedem minut dziesiąta, a już wszyscy na posterunku! Cóż – u licha! – o tym powiecie? Założę się, że Jego Dostojność Pan Lesable zjawił się o godzinie dziewiątej, w tym samym czasie co nasz znakomity naczelnik. Sekretarz przestał pisać, włożył pióro za ucho i

rzekł opierając się łokciami na stole:

– No, wiecie, jeśli ten nie robi kariery, to nie dlatego, żeby się nie starał!

– Ależ robi, ojciec Cachelin, robi, może pan być tego pewny – odpowiedział pan Pitolet, siadając na rogu stołu i wymachując nogą. – Chce się pan założyć? Stawiam tysiąc przeciwko jednemu, że zostanie naczelnikiem, zanim upłynie dziesięć lat.

Pan Maze, który skręcając papierosa grzał sobie uda przy ogniu, zawyrokował:

– Ech! Co do mnie, to wolałbym raczej mieć całe życie dwa tysiące czterysta franków, niż wyskakiwać ze skóry tak jak on.

Obróciwszy się na piętach, Pitolet zadzwinił:

– Ale to ci nie przeszkadza, mój drogi, że dzisiaj, dwudziestego grudnia, jesteś tu przed godziną dziesiątą.

Tamten wzruszył ramionami i odpowiedział tonem obojętnym:

– Też porównanie! Ja także nie chcę, żeby mnie wszyscy ubiegli. Skoro panowie przychodzą oglądać tu wschód słońca, ja czynię to samo, ale ubolewam nad waszą gorliwością. Daleko stąd jeszcze do nazywania naczelnika „drogim mistrzem”, jak to czyni Lesable, do wychodzenia z biura o pół do siódmej i do zabierania roboty do domu. Zresztą jestem człowiekiem światowym, inne obowiązki pochłaniają mi czas.

Pan Cachelin przerwał wpisywanie do rejestru i zamyślił się, spoglądając błędnie przed siebie. Wreszcie zapytał:

– Czy sądzicie, że on dostanie awans jeszcze w tym roku?

– Oczywiście, że dostanie – zawołał Pitolet – a raczej dziesięć awansów, nie jeden. Nie na darmo jest spryciarzem.

Poczęto rozmawiać o wiekuiestej sprawie awansów i gratyfikacji, która od miesiąca doprowadzała na wszystkich piętrach do szaleństwa ten olbrzymi rój biurokratów.

Obliczano szansę, zgadywano sumy, żonglowano tytułami, oburzano się z góry na przewidywane niesprawiedliwości. Na nowo wszczynano toczony już wczoraj nieskończony spory, do których niezawodnie powróci się jutro, używając tych samych przesłanek, tych samych dowodów i tych samych słów.

Wszedł jeszcze jeden urzędnik, pan Boissel, niski, bladej, o wyglądzie chorowitym, a żyjący jakby w powieści Aleksandra Dumasa ojca. Wszystko stawało się dlań niezwykle przygodą, co rano więc opowiadał siedzącemu w tym samym pokoju Pitoletowi osobliwe wydarzenia z wczorajszego wieczora, widywał bowiem domniemane dramaty w domu, w którym zamieszkiwał, i słyszał krzyki na ulicy, skłaniające go do otwierania okna o godzinie trzeciej dwadzieścia w nocy. Codziennie rozdzielał walczących, zatrzymywał konie, ocalał będące w niebezpieczeństwie kobiety, a chociaż dotknięty był pożałowania godną słabością fizyczną, marudnie i z przekonaniem bez ustanku wymieniał czyny, których dokonał siłą swego ramienia.

Gdy pojął, że rozmowa dotyczy Lesable oznajmił:

– Któregoś dnia powiem temu smarkaczowi co się należy, a jeśli mnie kiedykolwiek ubiegnie to mu tak wytrzępię skórę, że odechce mu się zaczynać!

Wciąż paląc, Maze roześmiał się szyderczo.

– Dobrze by było – powiedział – aby pan zaczął to już dzisiaj, bo wiem z wiarygodnego źródła, że pominięto pana tego roku, aby zrobić miejsce Lesable'owi.

Boissel podniósł rękę.

– Przysięgam panu, że jeśli...

Raz jeszcze otworzyły się drzwi i wszedł żywo, z miną zafrasowaną młody człowiek małego wzrostu. Nosił faworyty oficera marynarki lub adwokata oraz stojący i bardzo wysoki kołnierzyk, a słowa wyrzucał z siebie tak, jak gdyby nigdy nie miał dość czasu, aby skończyć to, co miał do powiedzenia. Rozdzielił uściski dłoni gestem człowieka, który nie ma ani chwili do stracenia, i podszedłszy do sekretarza rzekł:

– Mój drogi Cachelin, bądź łaskaw dać mi akta dotyczące Chapelou, sprawa przędzy do kabli, Tulon, A. V. T. 1875.

Urzędnik podniósł się, Sięgnął do pudła ponad głową, wyjął stamtąd plik papierów w niebieskiej okładce i podał go przybyłemu.

– Proszę, panie Lesable. Czy wiadomo panu, że naczelnik zabrał wczoraj z tych akt trzy depesze?

– Tak, są u mnie, dziękuję.

I młody człowiek wyszedł spiesznym krokiem.

Zaledwie znikł, Maze oświadczył:

– Co za fomy! Można by pomyśleć, że już jest naczelnikiem.

– Cierpliwości! Cierpliwości! – odrzekł Pitolet. – Zostanie nim wcześniej niż my wszyscy.

Pan Cachelin nie powrócił do rejestru. Można by powiedzieć, że prześladowała go jakaś uporczywa myśl. Upewnił się jeszcze raz.

– Piękną przyszłość ma przed sobą ten chłopiec!

– Dla tych – mruknął pogardliwie Maze – którzy uważają ministerstwo za karierę – tak. Dla innych – to za mało...

– Pan zamierza zostać ambasadorem? – przerwał mu Pitolet. Tamten poruszył się niecierpliwie.

– To nie o mnie chodzi. Ja na to gwizdę! Niezależnie od tego stanowisko naczelnika wydziału nie będzie nigdy niczym znacznym na świecie.

Ojciec Savon, kopista, nie zaprzestał bynajmniej swego zajęcia, lecz od pewnego czasu maczał raz po raz pióro w atramencie, po czym wycierał je uparcie o gąbkę, która piła wodę z miseczki. Pomimo to nie zdołał nakreślić ani jednej litery Czarna ciecz zsuwała się po metalowym ostrzu i spadała kulistymi kleksami na papier. Pocziwina spoglądał z udręką i strachem na swą kopię, którą – jak wiele innych od pewnego czasu – wypadało mu zaczynać na nowo.

– Znowu atrament zafalszowany!... – wyrzekł głosem cichym i smutnym.

Gwałtowny wybuch śmiechu wydarł się ze wszystkich ust. Cachelin potrzasał stół swym brzuchem, Maze zginał się wpół, jakby chciał tyłem wejść do kominka, Pitolet tupał nogą, kaszłał i trząsał prawą ręką tak, jakby w niej poczuł bezwład, a nawet Boissel dusił się od śmiechu, chociaż z zasady brał rzeczy raczej tragicznie niż komicznie.

Natomiast ojciec Savon, wytarłszy na koniec pióro o połę surduta, rzekł:

– Nie ma się z czego śmiać. Każdą robotę muszę wykonywać dwa albo trzy razy.

Wyjął z teczki nowy arkusz papieru, wyrównał od spodu rygę i od nowa rozpoczął nagłówek: „Panie Ministrze i Drogi Kolego...” Atrament utrzymywał się teraz na piórze, które czysto kreśliło litery. Stary przechylił się na bok i zatopił ponownie w przepisywaniu.

Obecni nie przestali się śmiać. Pękano wprost ze śmiechu. Od blisko pół roku powtarzano tego samego psikusa pocziwinie, który nie domyślał się niczego. Polegał on na tym, że na mokrą gąbkę do czyszczenia piór wylewano kilka kropel oliwy. Powlekając się wskutek tego tłustym płynem, stał nie przyjmowała atramentu, a kopista trawił godziny w zdumieniu i smutku, zużywał całe pudełka piór i całe butelki atramentu, aż oświadczył na koniec, że przybory kancelaryjne zepsuły się zupełnie.

Wtedy żarty przybrały formę natarczywego znęcania się nad starym. Dosypywano mu prochu do tytoniu, dolewano lekarstw do karafki, z której od czasu do czasu wypijał szklanek wody, i wmówiono mu, że od upadku Komuny socjaliści fałszują większość artykułów codziennego użytku, ażeby zaszkodzić rządowi i doprowadzić do rewolucji.

Z tego powodu powziął szaloną nienawiść do anarchistów. Uznał, że czyhają wszędzie i wszędzie się ukrywają. Napawało go to tajemnym strachem przed czymś nieznanym, zamaskowanym i groźnym.

Na korytarzu zabrzmiał raptowny dźwięk dzwonka. Znano dobrze ten wściekły dzwonek

naczelnika, pana Torchebeuf. Wszyscy rzucili się ku drzwiom, aby powrócić na swoje miejsca.

Cachelin zabrał się na powrót do rejestru, wkrótce jednak znowu odłożył pióro i ujął głowę w ręce, aby porozmyślać.

Dojrzewała w nim myśl, dręcząca go już od pewnego czasu. Jako były podoficer marynarki kolonialnej, zdyskwalifikowany po odniesieniu trzech ran (jednej w Senegalu, a dwu w Kochinchinie¹), do ministerstwa zaś przyjęty w drodze wyjątkowej łaski, musiał znieść wiele przykrości, grubiaństw i goryczy w swej długiej karierze podwładnego na najniższym szczeblu, dlatego uważał władzę, władzę urzędową, za jedną z najpiękniejszych rzeczy na świecie. Naczelnik wydziału wydawał mu się istotą wyjątkową, żyjącą w jakiejś wyższej sferze, a urzędnicy, o których mówiono: „To spryciarz, wybije się szybko” – byli dlań ludźmi innej niż on rasy, innej natury.

Dla swego kolegi Lesable'a miał tedy najwyższy szacunek, który graniczył z uwielbieniem, a w skrytości ducha żywił uporczywe pragnienie, aby wydać zań córkę.

Ta będzie kiedyś bogata, bardzo bogata. Wiedziano o tym w całym ministerstwie, gdyż jego siostra, panna Cachelin, była posiadaczką miliona netto, solidnego miliona gotówką, zdobytego – jak mówiono – przez miłość, a oczyszczonego przez pobożność poniewczasie.

Stara panna, ongi płoża, usunęła się od świata z pięciuset tysiącami franków, które w ciągu osiemnastu lat co najmniej podwoiła dzięki drapieżnej oszczędności i bardziej niż skromnemu trybowi życia. Od dawna mieszkała u swego brata, który owdowiawszy miał przy sobie córeczkę Koralię, ale w wydatkach domowych brała zupełnie nieznaczny udział, ściskając i gromadząc swe złoto i powtarzając wciąż Cachelinowi:

– To nie ma znaczenia, skoro wszystko należy do twej córki, ale wydaj ją szybko za męża, bo chciałabym jeszcze zobaczyć swoje wnuczęta po bracie. To ona da mi tę radość, że uściskę dziecko z naszej krwi.

Sprawa była znana w świecie urzędniczym, starających się było więc dość. Mówiono, że nawet Maze, piękny Maze, lew biura, kręcił się z wyraźnymi zamiarami wokoło ojca Cachelina. Jednakże były sierżant, szczwany lis – włóczył się pod wszystkimi szerokościami geograficznymi – pragnął młodzieńca z przyszłością, młodzieńca, który by został naczelnikiem, tak że szacunek, jakim by się cieszył, spłynąłby i na niego, Cezara, starego podoficera. Lesable wyśmienicie mu odpowiadał, przeto Cachelin od dawna szukał sposobu, aby go ściągnąć do siebie.

Naraz wyprostował się, zacierając ręce. Miał pomysł.

Znał dobrze ludzkie słabostki. Lesable'a można wziąć tylko na próżność, próżność zawodową. Pójdzie i poprosi go o protekcję, tak jak się chodzi do senatora albo do deputowanego, tak jak się chodzi do osobistości wysoko postawionej.

Ponieważ nie dostawał awansu od pięciu lat, Cachelin uważał za rzecz najzupełniej pewną, że otrzyma go w tym roku. Uda więc przeświadczenie, że zawdzięcza awans Lesable'owi, i zaprosi go z wdzięczności na obiad.

Powziąwszy ten plan, postanowił natychmiast wprowadzić go w czyn. Zdjął starą, a wydobyl z szafy marynarkę wyjściową i wzięwszy wszystkie zapisane do rejestru papiery, które dotyczyły zakresu pracy jego kolegi, udał się do kancelarii, którą ten urzędnik w drodze specjalnej łaski, na skutek swej gorliwości i poważnego zasięgu swojej pracy zajmował sam.

Młody człowiek pisał przy wielkim stole wśród pootwieranych teczek z aktami i rozrzuconych papierów, ponumerowanych czerwonym lub niebieskim atramentem.

Zobaczywszy wchodzącego sekretarza zapytał tonem poufałym, z którego jednak przebiegał szacunek:

- No, mój drogi, dużo mi pan spraw przynosi?
- Tak, niemało. A poza tym chciałbym z panem pomówić.
- Proszę usiąść, przyjacielu, słucham pana.

Cachelin usiadł, odchrząknawszy, przybrał minę zakłopotaną i zaczął głosem niepewnym:

– Oto, co mnie tu sprowadza, panie Lesable. Nie lubię kluczyć, jako stary żołnierz będę szczery. Przychodzę prosić pana o przysługę.

– Ale o jaką?

– Nie będę się rozwodził. Chodzi mi o to, aby dostać awans w tym roku. Nie mam nikogo, kto by mnie zaprotegował, pomyślałem więc o panu.

Lesable zaczerwienił się nieco, zdziwiony, zadowolony, pełen dumnego zakłopotania, jednakże odpowiedział:

– Ależ ja tu jestem niczym, przyjacielu. Jestem czymś o wiele mniejszym niż pan jako urzędnik wyższej ode mnie grupy. Nie mam żadnego wpływu. Proszę mi wierzyć, że...

– Tralala! – wpadł mu w słowa Cachelin z nie pozbawioną respektu szorstkością. – Ma pan posłuch u naczelnika i jeżeli mu pan szepnie słówko za mną, to przejdę. Proszę wziąć pod uwagę, że półtora roku uzyskam prawo do emerytury i odpadnie mi co najmniej pięćset franków, jeżeli nie zaawansuję na pierwszego stycznia. Wiem dobrze, co mówią: „Cachelinowi bieda nie dokucza, jego siostra ma milion”. Tak, to prawda, moja siostra ma milion, ale jej milion składa się z drobnych, których wcale nie daje. Milion przeznaczony jest dla mojej córki, to też prawda, ale moja córka i ja to dwie różne osoby. Dużo mi przyjdzie z tego, gdy moja córka i mój zięć będą jeździć kareta, a ja nie będę miał co włożyć do ust. Chyba pan rozumie moje położenie?

Lesable skinął głową.

– Słusznie, bardzo słusznie pan mówi. Pański zięć może się okazać nie najlepszy dla pana. A zresztą człowiek jest zawsze rad, gdy niczego nikomu nie zawdzięcza. Wobec tego obiecuję panu, że uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy. Pomówię z naczelnikiem, wyjaśnię mu ten wypadek, będę nalegał, ile się da. Proszę liczyć na mnie!

Cachelin wstał, pochwycił obydwie dłonie kolegi, uściśnął, potrząsnął nimi po żołniersku i wyrzekł urywanym głosem.

– Dziękuję, dziękuję, proszę liczyć na to, że jeśli nadarzy mi się kiedykolwiek okazja... Jeżeli kiedykolwiek będę mógł...

Nie znalazłszy słów dość stanowczych, nie dokończył i wyszedł, a na korytarzu zabrzmiał jego rytmiczny krok starego żołnierza.

Z daleka jednak dał się słyszeć rozdrażniony dźwięk dzwonka, przeto Cachelin począł biec, gdyż rozpoznał, kto dzwoni. To naczelnik, pan Torchebeuf, wzywał swego sekretarza.

W tydzień potem Cachelin zastał rano na swoim biurku zapieczętowany list, którego treść była następująca:

*Drogi Kolego,
z radością donoszę Panu, że Minister zarówno na wniosek naszego Dyrektora, jak i naszego Naczelnika podpisał wczoraj awans dla Pana. Jutro otrzyma Pan zawiadomienie urzędowe. Aż do tej chwili nie wie Pan o niczym, dobrze?*

Pański

Lesable

2

Cezar pobiegł natychmiast do kancelarii swego młodego kolegi, złożył mu podziękowanie, przeproszał, wyraził swe oddanie i w ogóle rozplęwał się z wdzięczności.

Nazajutrz dowiedziano się, że panowie Lesable i Cachelin rzeczywiście awansowali. Innym urzędnikom wypadło oczekiwać na szczęśliwszy rok i pobrać tytułem rekompensaty gratyfikację, wahającą się pomiędzy pięciuset a trzystoma frankami.

Pan Boissel oświadczył, że któregoś wieczoru zaczął się na Lesable'a o północy za rogiem

ulicy i spuści mu takie baty, że się nie będzie mógł podnieść. Reszta urzędników milczała.

W najbliższy poniedziałek Cachelin zaraz po przyjeździe do biura udał się do kancelarii swego protektora. Wszedł uroczyście i powiedział tonem ceremonialnym:

– Mam nadzieję, że nie odmówi mi pan tego zaszczytu i przyjdzie do nas na obiad z okazji Trzech Króli. Wybór dnia należy do pana.

Nieco zaskoczony, młody człowiek podniósł głowę i utkwiał oczy w oczach kolegi. A potem odpowiedział, nie odwracając spojrzenia, aby mógł dobrze czytać w myślach tamtego:

– Ale, mój drogi, ja mam na pewien czas wszystkie wieczory zajęte.

Cachelin nalegał dobrodusznie: – Chyba nie zrobi nam pan takiej przykrości, aby odrzucić zaproszenie po przysłudze, którą mi pan oddał. Proszę pana w imieniu rodziny i swoim.

Lesable wahał się i był w kłopotcie. Zrozumiał, ale nie mając czasu do zastanowienia się i do rozważenia wszystkich za i przeciw, nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu pomyślał: „Nie zobowiązuję się do niczego przyjmując zaproszenie na obiad”. Przybrał więc minę zadowoloną i zgodził się, wybierając najbliższą sobotę.

– Ażebym nie musiał nazajutrz zbyt wcześnie wstawać – dorzucił z uśmiechem.

Pan Cachelin zajmował w górze ulicy Rochechouart, na piątym piętrze niewielkie mieszkanie z tarasem, skąd widać było cały Paryż. Miał trzy sypialnie: jedną dla siostry, drugą dla córki, trzecią dla siebie. Jadalnia służyła jednocześnie za salon.

Przez, cały tydzień roztrząsano sprawę obiadu. Długo rozprawiano nad doborem potraw, chcąc przygotować posiłek domowy, a zarazem wytworny. Postanowiono, co następuje: rosół z jajkami, zakąski, krewetki i kiełbasa, homar, wspaniała kura, zielony groszek konserwowy, pasztet z gęsich wątróbek, sałata, lody i deser.

Pasztet z gęsich wątróbek kupiono w sąsiedniej wędliniarni, zaznaczając, że ma być pierwszej jakości. Gliniana foremka z pasztetem kosztowała trzy franki pięćdziesiąt. W sprawie wina Cachelin zwrócił się do winiarni na rogu, skąd brał na litry czerwony napój, którym się zazwyczaj orzeźwiał. Nie chciał pójść do któregoś z wielkich składów, rozumował bowiem w sposób następujący: „Drobnym sklepikarzom rzadko nadarza się okazja sprzedaży dobrych win, długo więc przechowują je w piwnicy i dlatego mają wina świetne”.

W sobotę powrócił wcześniej, aby się upewnić, czy wszystko jest gotowe. Służąca, która mu otworzyła drzwi, była czerwona jak pomidor, ponieważ ogień, rozpalony już w południe z obawy, aby się nie opóźnić, prażył jej twarz przez cały dzień, a oprócz tego i emocja wzburzyła jej krew.

Cachelin wszedł do jadalni, aby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Okrągły stół stanowił pośrodku niewielkiego pokoju wielką białą plamę pod silnym światłem lampy, osłoniętej zielonym abażurem.

Obok czterech talerzy, przykrytych poskładanymi serwetkami przez ciotkę, pannę Cachelin, leżały sztuczne z białego metalu, a przed każdym nakryciem stały dwie lampki do wina: duża i mała. Cezar uznał to za nie wystarczające dla oka i zawołał:

– Karolino!

Otworzyły się drzwi z lewej strony i ukazała się w nich malutka staruszka. Starsza o dziesięć lat od swego brata, miała wąską twarz, okoloną utworzonymi za pomocą papilotów puklami siwych włosów. Jej cienki głosik zdawał się być za słaby nawet dla tego małego i zgiętego ciała. Chodziła nieco powłócząc nogami i miała jakąś ospałość w ruchach.

– Cóż to za przemile stworzenie – mówiono o niej w czasach, gdy była młoda.

Teraz była chudą staruszką, schludną dzięki dawnym przyzwyczajeniom, przekorną, upartą, z umysłem ciasnym i małostkowym, łatwo więc popadała w rozdrażnienie. Będąc teraz bardzo pobożną, zdawała się najzupełniej zapominać o przygodach minionych dni.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Uważam – odpowiedział – że dwie lampki nie robią dość wielkiego wrażenia. Gdyby tak

podać szampana... W żadnym wypadku nie kosztowałyby mnie to więcej niż trzy do czterech franków, a można by zaraz postawić wysokie kieliszki. Zmieniłby się zupełnie wygląd jadalni.

– Nie wiem, czy będzie jaki pożytek z tego wydatku, ale ostatecznie to mnie nie obchodzi, skoro ty płacisz.

Wahał się, próbując przekonać samego siebie.

– Zapewniam cię, że tak będzie lepiej. To zresztą doda animuszu przy pierniku z migdałem.

Ten argument zadecydował. Cachelin wziął kapelusz i zszedł na dół. Po upływie pięciu minut wrócił z butelką, która na białej i szerokiej etykiecie, zdobnej w olbrzymi herb, miała następujący napis: „Najlepszy szampan musujący z winnic hrabiego Chatel-Rénovau”.

– Zapłaciłem tylko trzy franki – oznajmił – a zdaje się, że jest wyborny.

Sam wziął z szafy wysokie kieliszki do szampana i ustawił je przed nakryciami.

Otworzyły się drzwi z prawej strony. Weszła córka. Była to wysoka, pulchna, rumiana i piękna dziewczyna silnej rasy, szatynka o niebieskich oczach. Prosta suknia uwydatniała jej kibić pełną i gibką. Jej mocny i prawie męski głos miewał niskie nuty, od których drżą nerwy.

– Boże, szampan! Co za szczęście! – zawołała, klaszcząc w ręce jak dziecko.

– Przede wszystkim – powiedział ojciec – bądź miła dla tego pana, bo ja wiele mu zawdzięczam.

Poczęła się śmiać dźwięcznym śmiechem, który mówił: „Wiem!”

W przedpokoju zabrzmiał dzwonek, drzwi otworzyły się i zamknęły. Wszedł Lesable. Był we fraku, miał biały krawat i białe rękawiczki. Zrobił wrażenie. Cachelin podbiegł ku niemu, zmieszany i zachwycony.

– Ależ, mój drogi, wszystko miało być po domowemu. Proszę spojrzeć: ja jestem w marynarce.

– Wiem, uprzedził mnie pan o tym – odrzekł młody człowiek – ale ja mam zwyczaj zawsze kłaść frak, jeśli gdzieś wieczorem wychodzę.

Miał kwiat w butonierce, szapoklak trzymał pod pachą. Ukłonił się. Cezar przedstawił:

– Moja siostra, panna Karolina – moja córka Koralia, którą w rodzinie nazywamy Korą.

Wszyscy skłonili głowy.

– Nie mamy salonu – podjął Cachelin. – Trochę to krępuje, ale człowiek się przyzwyczaja.

– Tu przecież bardzo przyjemnie – odparł Lesable.

Zabrano mu kapelusz, chociaż chciał go zatrzymać przy sobie. Jął natychmiast ściągać rękawiczki.

Zajęto miejsca; przyglądano mu się z daleka, poprzez stół, bez słowa. Cachelin zapytał:

– Czy naczelnik został dłużej? Ja wyszedłem wcześniej, aby pomóc paniom.

– Nie – odpowiedział Lesable tonem swobodnym. – Wyszliśmy razem, ponieważ mieliśmy jeszcze do pomówienia o roztworach do nieprzemakalnych żagli. To sprawa bardzo skomplikowana, nad którą trzeba jeszcze będzie się napracować.

Cachelin poczytał sobie za obowiązek poinformować siostrę o sprawach biurowych.

– Pan Lesable – rzekł, zwracając się ku niej – zajmuje się w biurze kwestiami najtrudniejszymi. Można powiedzieć, że zastępuje naczelnika.

Stara panna skłoniła się grzecznie i oświadczyła:

– Och, wiem, że pan jest bardzo uzdolniony.

Pchnąwszy drzwi kolaniem weszła służąca, trzymając przed sobą w obydwu rękach wielką wazę. Wtedy „pan domu” zawołał:

– A więc siadajmy do stołu! Panie Lesable, proszę zająć miejsce tutaj, pomiędzy moją siostrą a moją córką. Przypuszczam, że pan nie obawia się dam?

I tak zaczął się obiad.

Lesable wdzięczny był z odrobiną zarozumiałości, nieomal pobłażania! Spoglądał z boku na

dziewczynę, zdumiewając się nad jej świeżością, nad jej wspaniałym zdrowiem i apetycznym wyglądem. Znając intencje brata, panna Karolina wysilała się na wszelkie sposoby i podtrzymywała rozmowę banalną, chwytając się wszystkich oklepanych tematów. Promieniejący Cachelin mówił głośno, żartował i dolewał wina, kupionego godzinę temu w winiarni na rogu.

– Jeszcze szklaneczkę tego cienkiego burgunda, panie Lesable. Nie mówię, żeby był wyśmienity, ale i tak jest dobry, ma swoje lata, jest czysty, za to ręczę. Dostaliśmy go od przyjaciół z tamtych stron.

Trochę zaczerwieniona, trochę onieśmielona i skrępowana sąsiedztwem mężczyzny, którego myśli zgadywała, młoda panna nie mówiła nic.

– Oto osobistość – oznajmił Cezar, gdy na stole pojawił się homar – z którą chętnie zawrę znajomość,

Uśmiechając się Lesable opowiedział, że pewien pisarz nazwał homara „kardynałem mórz”, nie orientując się, że to stworzenie jest czarne przed ugotowaniem. Cachelin zaczął się śmiać ze wszystkich sił, powtarzając:

– Ha! ha! ha! Bardzo zabawna historia!

Natomiast panna Karolina spoważniała.

– Nie widzę, jakie tu może być podobieństwo. Tamten pan mówił od rzeczy. Rozumiem wszelkie, ale to wszelkie żarty, jednakże sprzeciwiam się ośmieszaniu kleru w mojej obecności.

Pragnąc się przypodobać starej pannie, młody człowiek skorzystał ze sposobności, aby złożyć katolickie wyznanie wiary. Mówił o ludziach złego smaku, którzy niepoważnie rozprawiają o wzniosłych prawidłach.

– Co do mnie – zakończył – to szanuję i czczę religię mych ojców. Wychowałem się w niej i pozostanę jej wierny aż do śmierci.

Cachelin przestał się śmiać. Robił galki z chleba, pomrukując: „Słusznie, słusznie”. Po czym, ulegając popędowi myśli właściwemu ludziom, którzy codziennie wykonują, tę samą pracę, zmienił nudny temat rozmowy i zapytał:

– Ależ piękny Maze musiał się wściekać, gdy nie otrzymał awansu! Co?

– Cóż pan chce? – uśmiechnął się Lesable. – Każdemu według zasług jego.

Rozmowa zesłała na ministerstwo, temat, który porywał wszystkich, ponieważ dzięki toczonym co wieczór rozmowom obydwie kobiety znały urzędników nieomal tak dobrze jak sam Cachelin. Ze względu na jego romantyczne usposobienie i opowiadane przezeń przygody pannę Karolinę szczególnie zajmował Boissel, panna Kora zaś interesowała się skrycie pięknym panem Maze. Obydwie zresztą nie widziały nigdy ani jednego, ani drugiego.

Lesable mówił o nich z odcieniem wyższości, jak by to czynił minister, wydający sąd o swym personelu.

– Maze – powiedział – nie jest pozbawiony pewnych zasług, ale gdy człowiek chce się wybić, musi pracować więcej niż on. A on lubi świat, rozrywki. To wszystko mąci spokój ducha. Dzięki swoim wpływom zostanie może zastępcą naczelnika kancelarii, ale niczym więcej. Pitolet dobrze redaguje listy, należy to przyznać, ma styl wytworny, nie można temu zaprzeczyć, ale brak mu głębi. Wszystko jest u niego powierzchowne. Temu chłopcu nie można by powierzyć kierownictwa poważniejszego wydziału, ale mógłby być użytkowany przez inteligentnego szefa, któremu by przygotowywał robotę.

– A pan Boissel? – zapytała panna Karolina.

Lesable wzruszył ramionami.

– Safandula, safandula! Nie widzi niczego we właściwych wymiarach. Zmyśla nieprawdopodobne historie. To zupełne zero dla nas.

Cachelin począł się śmiać i oświadczył: – Najlepszy jest ojciec Savon. – Roześmieli się wszyscy.

Potem mówiono o teatrach i o tegorocznych sztukach. Z tą samą co przedtem autorytatywnością Lesable wyrokował o literaturze dramatycznej, dzielił autorów na wyraźne kategorie, określał ich silne i słabe strony z pewnością siebie właściwą ludziom, którzy uważają się za nieomylnych i wszechstronnych.

Skończono jeść pieczyście. Zachowując wszelkie ostrożności, które wiele kazały się spodziewać, Cezar odkrył teraz pasztet z gęsich wątróbek.

– Nie wiem – powiedział – czy ten się udał, ale zwykle są doskonałe. Dostaliśmy go od kuzyna, który mieszka w Strassburgu.

Z uszanowaniem, powoli spożyto dzieło masarza, złożone w naczyniu z żółtej kamionki.

Lody okazały się zupełną klęską. To był sos, to była zupa, to była jasna ciecz, pływająca po kompotierce. W obawie, że nie będzie umiała sobie z tym poradzić, służąca poprosiła przybyłego już o siódmej chłopca od cukiernika, aby sam wyjął je z formy.

Strapiony Cachelin chciał zrazu je odesłać, uspokoił się jednak na myśl o placku z migdałem. Pokrajał go z miną tajemniczą, jak gdyby mieścił się w nim doniosły sekret. Wszyscy utkwili oczy w symbolicznym dla święta Trzech Króli placku. Obnoszono go, polecając każdemu zamykać oczy przy wyborze kawałka.

Komu przypadnie migdał? Niemądry uśmiech błąkał się po wszystkich wargach. Pan Lesable wydał lekki okrzyk zdziwienia: „O!” i pokazał między kciukiem a palcem wskazującym duży, biały migdał, jeszcze oblepiony ciastem. Cachelin począł bić brawo, a następnie zawołał:

– Proszę wybierać królową! Proszę wybierać królową!

Król krótko zawahał się w duchu. Czy nie byłoby aktem strategii, gdyby wybrał pannę Karolinę? Zyskałby sobie tym pochlebstwem jej przychylność. Po namyśle uznał jednak, że w gruncie rzeczy został zaproszony ze względu na pannę Korę i że zachowałby się jak głupiec, gdyby wybrał ciotkę. Obrócił się tedy ku swej młodej sąsiadce i rzekł, podając jej królewski migdał:

– Panno Koralio, czy pozwoli pani sobie to ofiarować?

Po raz pierwszy spojrzeli sobie prosto w oczy.

– Dziękuję panu – powiedziała Koralia i przyjęła królewski fant.

„To naprawdę śliczna dziewczyna – myślał. – Ma cudne oczy. A jaka pieprzna! Psiakość!”

Wystrzał poderwał obydwie kobiety. To Cachelin właśnie odkorkował szampana, który wydobywał się gwałtownie z butelki i sphywał na obrus. Napelniono kieliszki pianą, a pan domu oznajmił:

– Dobry gatunek! To widać od razu!

A gdy Lesatole zabierał się do picia, aby zapobiec wylewaniu się wina z kieliszka, Cezar wykrzyknął:

– Zdrowie króla! Zdrowie króla! Zdrowie króla!

– Zdrowie króla! Zdrowie króla! – zapiszczała swym ostrym głosikiem również rozweselona panna Karolina.

– Widzicie państwo, że czuję się znakomicie – rzekł Lesable, śmiało wychyliwszy kieliszek i odstawszy go na stół, a zwracając się ku pannie Korze dodał:

– W ręce pani!

Chciała wypić, ale wszyscy zawołali: – Zdrowie królowej! Zdrowie królowej! – więc zarumieniła się, zaczęła się śmiać i postawiła kieliszek przed sobą.

Reszta obiadu upłynęła bardzo wesoło. Król okazał się nadszkakujący i uprzedzająco grzeczny wobec królowej. Po likierach Cachelin zapowiedział:

– Sprzątnie się ze stołu, aby zrobić miejsce. Jeżeli nie pada, możemy spędzić chwilę na tarasie. – Chciał się pochwalić widokiem, chociaż zapadła już noc.

Otwarto tedy oszklone drzwi. Do mieszkania wszedł wilgotny powiew. Na dworze było ciepło jak w kwietniu, więc wszyscy przestąpili próg, który oddzielał jadalnię od obszernego

balkonu. Widać było tylko mgliste światło unoszące się ponad wielkim miastem, jak owe wieńce ogniste, które kładzie się na czoła świętych. Tu i ówdzie jasność ta zdawała się potęgować. Cachelin począł wyjaśniać:

– Patrzcie! To, co tam tak świeci, to jest „Eden”. Tu linia bulwarów. Jak łatwo można je rozróżnić! Za dnia widok stąd jest wspaniały. Na próżno by pan podróżował, aby znaleźć coś piękniejszego.

Lesable oparł się łokciami na żelaznej balustradzie obok Kory, która milcząco i z roztargnieniem spoglądała w przestrzeń, porwana nagle jedną z tych melancholijnych tęsknot, które niekiedy odrętwiają duszę. Panna Karolina powróciła do jadalni z obawy przed wilgocią. Cachelin mówił dalej, wskazując wyciągniętym ramieniem w kierunku Inwalidów, Trocadéro i Łuku Tryumfalnego na placu Etoile.

– A czy pani, panno Koro – zapytał półgłosem Lesable – lubi z wysoka spoglądać na Paryż?

Wstrząsnęła się lekko, jakby ją obudził.

– Ja?... – odpowiedziała. – Tak, zwłaszcza wieczorem. Myślę o tym, co się dzieje tam – przed nami. Iluż ludzi szczęśliwych i iluż nieszczęśliwych żyje w każdym z tych domów! Ileż dowiedzielibyśmy się rzeczy, gdyby można było to wszystko zobaczyć!

– W świetle księżycy – przybliżył się tak, aby się mogli dotykać łokciami i ramionami – to musi być bajeczne!

– Oczywiście – szepnęła. – Można by pomyśleć, że to sztych Gustawa Doré. Cóż by to była za rozkosz przechadzać się długo po dachach!

Wtedy zaczął ją rozpytywać o zamiłowania, marzenia i rozrywki. Odpowiadała mu bez zakłopotania, jak dziewczyna stateczna i rozumna, w miarę rozmarzona. Uznał, że ma dużo zdrowego rozsądku, i pomyślał sobie, że byłoby naprawdę bardzo miło otoczyć ramieniem tę kibić pełną i jędrną oraz długo całować lekkimi i przeciągłymi pocałunkami – tak jak wyborne wódki pije się małymi haustami – ten świeży policzek tuż przy uchu, które oświetlał odbłask lampy. Czuł, jak go opanowuje i wzrusza świadomość tak wielkiej bliskości tej kobiety, pożądanie ciała dojrzałego i dziewiczego, subtelny urok młodej dziewczyny. Wydawało mu się, że mógłby tak trwać godzinami, nocami, tygodniami, wiecznie, oparty koło niej, czując ją przy sobie, przeniknięty czarem jej bliskości. Coś jakby doznanie poetyckie wzburzyło mu serce w obliczu rozciągającego się przed nim wielkiego Paryża, żyjącego swym nocnym życiem, życiem zabawy i rozpusty. Zdawało mu się, że panuje nad tym olbrzymim miastem, że się ponad nim unosi. Czuł, że byłoby rozkosznie opierać się co wieczór na balkonie u boku kobiety, kochać się wzajemnie, całować się w usta, przyciskać się do siebie ponad rozległą metropolią, ponad wszystkimi miłościami, które w sobie krył, ponad wszystkimi pospolitymi ucieszeniami, ponad wszystkimi płaskimi żądzami, tuż przy gwiazdach.

Są wieczory, gdy najmniej skłonne do egzaltacji dusze poczynają marzyć, jakby im wyrastały skrzydła. Lesable był chyba trochę podchmielony. Cachelin wyszedł po fajkę i powrócił, zapalając ją po drodze.

– Wiem – powiedział – że pan nie pali, więc nie częstuję pana papierosami. Dla mnie nie ma większej przyjemności niż popalić sobie tutaj. Umarłbym, gdyby mi wypadło mieszkać na dole. Moglibyśmy sobie na to pozwolić, ponieważ dom należy do mojej siostry, podobnie zresztą jak dwa sąsiednie, ten z lewej i ten z prawej. Ona ma piękne dochody! A swego czasu niedrogo ją te domy kosztowały.

Obrócił się w stronę jadalni i zawołał:

– Karolino, ileś to ty zapłaciła za te place?

Rozległ się ostry głos starej panny. Lesable dosłyszał tylko strzępy zdań: – ... w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim... trzydzieści pięć franków... zbudowany później... trzy domy... pewien bankier... odprzedany za co najmniej pięćset tysięcy franków...

Opowiadała o swej, fortunie z upodobaniem starego żołnierza, który mówi o bitwach.

Wymieniała akty kupna, czynione jej później propozycje, nadwyżki itd.

Żywo zainteresowany Lesable obrócił się w stronę mieszkania i oparł się teraz plecami o balustradę tarasu. Ponieważ jednak nadal chwycił tylko urywki wyjaśnień, opuścił nagle swą młodą sąsiadkę i powrócił do jadalni, ażeby nie stracić ani słowa. Usiadłszy obok panny Karoliny, wiódł z nią długą rozmowę o możliwościach podwyżki komornego i o sprawach dotyczących dobrego ulokowania gotówki w papierach wartościowych lub w nieruchomościach.

Wyszedł około północy, obiecując ponowne odwiedziny.

W miesiąc później całe ministerstwo rozprawiało jedynie o małżeństwie Jakuba Leopolda Lesable'a z panną Celestyną Koralią Cachelin.

3

Młode małżeństwo osiedliło się na tym samym piętrze co Cachelin i panna Karolina, w takim samym mieszkaniu, z którego usunięto lokatora.

Jednakże niepokój gościł w duszy Lesable'a, gdyż ciotka nie chciała zapewnić Korze dziedzictwa jakimkolwiek decydującym aktem. Zgodziła się wszelako przysiąc „przed Bogiem”, że testament został spisany i złożony u notariusza, pana Bolhomme. Obiecała ponadto, że cały majątek przypadnie jej siostrzenicy z zastrzeżeniem pewnego warunku. Gdy nalegano, aby wyjawiała ten warunek, odmówiła wyjaśnień, ale z życzliwym uśmiechem zaklęła się znowu, że jest to łatwe do spełnienia.

Wobec tych wyjaśnień i wobec uporu starej dewotki Lesable uznał, że należy przejść nad tym do porządku dziennego, a ponieważ dziewczyna bardzo mu się podobała i pożądanie tryumfowało nad niepewnością, zdał się w tamtej sprawie na uporczywe wysiłki Cachelina.

Był teraz szczęśliwy pomimo nawiedzających go ustawicznie wątpliwości. Kochał swą żonę, która w niczym nie zawiodła jego oczekiwań. Życie popłynęło im spokojnie i jednostajnie. Zresztą w ciągu kilku tygodni przywykł do swej nowej pozycji człowieka żonatego, pozostając urzędnikiem jak dawniej doskonałym.

Upłynął rok. Nadszedł dzień pierwszego stycznia. Ku swemu wielkiemu zdumieniu Lesable nie otrzymał awansu, na który liczył. Jedynie Maze i Pitolet przeszli o stopień wyżej, a Boissel oświadczył Cachelinowi w zaufaniu, że dał sobie słowo, iż pewnego wieczoru po wyjściu z biura spuści na oczach wszystkich urzędników przed główną bramą lanie obydwu koleżkom. Nie uczynił nic podobnego.

Przez osiem dni udreka, że pomimo swej służbistości nie został awansowany, spędzała Lesable'owi sen z powiek. Nie zważając na to pracował jak wół i zastępował w nieskończoność zastępcę naczelnika, pana Ribot, chorującego przez dziewięć miesięcy w roku i przebywającego w szpitalu Val-de-Grace. Co rano zjawiał się w biurze o pół do dziewiątej, co wieczór wychodził o pół do siódmej. Czegóż można więcej wymagać? Jeżeli im się nie podoba jego praca i jego wysiłki, będzie postępował tak samo jak inni – i już. Każdemu według zasług jego. Jak tedy pan Torchebeuf, który obchodził się z nim po ojcowsku, mógł go poświęcić? Lesable chciał dowiedzieć się prawdy. Pójdzie do naczelnika i rozmówi się z nim.

A więc pewnego poniedziałku zapukał przed przybyciem kolegów do drzwi tego potentata.

Ostry głos zawołał: – Proszę! – Lesable wszedł.

Siedząc przy wielkim i pokrytym papierami stole, maleńki, a z wielką głową, która zdawała się spoczywać na podkładce z bibuły, pan Torchebeuf pisał.

– Dzień dobry, Lesable – powiedział spostrzegłszy swego ulubionego urzędnika. – Dobrze się pan miewa?

– Dzień dobry, drogi szefie – odrzekł młody człowiek. – Doskonale, a pan?

Naczelnik przestał pisać i obrócił się razem z fotelem. Jego drobne, wątle i chude ciało,

opięte czarnym, uroczystym surdudem, zdawało się być całkiem nieodpowiednie dla ogromnego krzesła ze skórzanym oparciem. Wielka, świetna, tysiąc razy za szeroka dla osoby, którą zdobiła, kokarda oficera legii honorowej świeciła jak czerwony żużel na piersi wąskiej, przytłoczonej imponującą czaszką, jak gdyby całe to indywiduum rozwinęło się w kopułę, na kształt grzyba.

Pan Torchebeuf miał szczęki zaostrome, policzki zapadłe, oczy na wierzchu, a wysokie czoło nakryte było odrzuconymi w tył siwymi włosami.

– Niech pan siada, mój drogi – wyrzekł. – I proszę powiedzieć, co pana tu sprowadza.

Wobec wszystkich innych urzędników okazywał wojskową szorstkość, uważając siebie za kapitana na pokładzie; ministerstwo bowiem było dlań wielką nawą, okrętem admiralskim dla całej floty francuskiej.

– Drogi szefie – nieco poblądlszy wyjąkał Lesable – przychodzę zapytać, czy dopuściłem się jakiegokolwiek winy?

– Ależ nie, mój drogi! Dlaczego stawia mi pan to pytanie?

– Bo byłem nieco zdziwiony, gdy tego roku nie otrzymałem awansu tak jak za lat poprzednich. Niech mi pan pozwoli wypowiedzieć się do końca, drogi panie. Proszę mi zarazem wybaczyć moją śmiałość. Wiem, że zyskałem sobie u pana względy wyjątkowe i wyróżnienie nadspodziewane. Wiem, że zasadniczo awanse przyznaje się tylko co dwa lub trzy lata, ale pozwolę sobie zaznaczyć, że wykonuję w biurze bez mała cztery razy tyle pracy i poświęcam dla biura przynajmniej dwa razy tyle czasu co każdy przeciętny urzędnik. Gdyby tak tedy rzucić na jedną szalę rezultat mych wysiłków w postaci ciężkiej pracy, a na drugą moje wynagrodzenie, pierwsza szala przeważałaby na pewno drugą.

Starannie przygotował sobie to zdanie i mniemał, że jest wyborne.

Zdumiony pan Torchebeuf szukał odpowiedzi. Wreszcie rzekł tonem nieco oziębłym:

– Aczkolwiek w zasadzie nie jest rzeczą dopuszczalną roztrząsanie takich spraw w rozmowach pomiędzy przełożonym a podwładnym, to jednak zgadzam się panu tym razem odpowiedzieć, zważywszy pańskie wielkie zasługi w pracy.

Przedstawiłem pana do awansu tak samo jak za lat poprzednich, ale dyrektor skreślił pańskie nazwisko, opierając się na tym, że małżeństwo zapewnia panu piękną przyszłość, oznaczającą więcej niż dobrobyt, bo fortunę, której nigdy nie osiągną pańscy skromni koledzy. Czy w rezultacie nie jest rzeczą sprawiedliwą uwzględnić po trochu warunki życiowe poszczególnych ludzi? Pan będzie bogaty, bardzo bogaty. Jeszcze trzysta franków rocznie to rzecz dla pana bez znaczenia, podczas gdy ta sama mała podwyżka wiele będzie znaczyła dla kieszeni kolegów. Oto powód, mój drogi, dla którego nie awansował pan w tym roku.

Lesable wyszedł, czując wstyd i gniew.

Wieczorem przy obiedzie był niemiły dla żony. Ta bywała zazwyczaj wesoła i miała usposobienie dość równe, lecz nacechowane uporem. Nigdy nie ustępowała, gdy sobie czegoś bardzo życzyła. Dla Lesable'a straciła już zmysłowy urok pierwszych dni, a chociaż wciąż na nowo budziła się w nim pożądlivość wobec świeżej i ładnej żony, to jednak niekiedy doznawał rozczarowania już podobnego do wstępu, który tak szybko rodzi się we wspólnym pożyciu dwojga istot. Tysiące pospolitych lub ośmieszających szczegółów życia codziennego, zaniedbane stroje poranne, szlafrok z podłej wełny, stary i zużyty, nieświeży płaszcz kąpielowy, bo nie było przecież w domu bogactwa, wreszcie widziane za blisko najrozmaitsze zajęcia domowe ubożego gospodarstwa pozbawiły małżeństwo blasku i pokalały ten kwiat poezji, który z daleka czaruje narzeczonych.

Ciotka Karolina także nie umiała mu domu, przebywając u nich prawie stale. Mieszkała się do wszystkiego, chciała wszystkim rządzić, czyniła uwagi na temat wszystkiego, a że niesłuchanie bali się ją urazić, znosili wszystko z rezygnacją, której towarzyszyło jednak wzrastające i tajone rozdrażnienie.

Ciotka chodziła po mieszkaniu krokiem powłóczącej nogami staruchy, a jej piskliwy głos orzekał nieustannie: – „Moglibyście zrobić to, moglibyście zrobić tamto”.

Gdy małżonkowie zostawali sami, zdenerwowany Lesable wykrzykiwał:

– Twoja ciotka robi się nieznośna! Ja sobie tego nie życzę. Słyszysz? Ja sobie tego nie życzę!

– A cóż ja mam na to poradzić? – odpowiadała spokojnie Kora. Wtedy unosił się.

– To ohydne mieć taką rodzinę!

– Tak – odpierała z niezmiennym spokojem – rodzina jest ohydna, ale spadek piękny. Prawda? Nie rób więc głupstw. Jesteś tak samo jak ja zainteresowany w tym, aby znieść ciotkę Karolinę.

Milkł, nie znajdując odpowiedzi.

Ciotka tymczasem nieustannie zadreżczała ich swym natrętnym domaganiem się dziecka. Zapędziała Lesable’a w kąt i szeptała mu prosto w twarz:

– Mój bratanku, żądam, abyś został ojcem, zanim umrę. Chcę zobaczyć mojego spadkobiercę. Nie wmówicie mi, że Kora nie jest stworzona na matkę. Wystarczy na nią spojrzeć. Człowiek, mój bratanku, żeni się po to, aby założyć rodzinę, aby być głową rodu. Kościół święty, matka nasza, nie dozwala, aby małżeństwa były bezdzietne. Rozumiem, że nie jesteście bogaci i że dziecko powoduje wydatki, ale po mojej śmierci nie zabraknie wam niczego. Chcę małego Lesable’a, chcę go, zrozum!

Gdy po piętnastu miesiącach małżeństwa jej pragnienia jeszcze się nie urzeczywistniły, powzięła podejrzenie i stała się natarczywa. Cichaczem udzielała Korze rad, praktycznych rad kobiety, która ongi niejedno poznała i przy sposobności potrafiła sobie przypomnieć.

Ale pewnego poranku poczuła się słaba i nie zdołała wstać. Ponieważ nigdy dotąd nie chorowała, zaniepokojony Cachelin zapukał do drzwi swego zięcia.

– Pobiegnij szybko po doktora Barbette, a naczelnikowi powiesz – prawda – że ze względu na tę okoliczność nie przyjdę dzisiaj do biura.

Lesable przeżył ten dzień w niepokoju. Był niezdolny do pracy, do redagowania listów i do badania spraw.

– Czemu jest pan dziś tak roztargniony, panie Lesable? – zapytał go ze zdziwieniem pan Torchebeuf.

– Jestem zmęczony, drogi naczelniku – odpowiedział nerwowo Lesable – spędziłem bowiem całą noc przy ciotce, której stan budzi poważne obawy.

– To, że pan Cachelin został przy niej – odparł lodowato naczelnik – powinno wystarczyć. Nie mogę dopuścić do tego, ażeby biuro rozprzęgało się z powodu osobistych spraw moich urzędników.

Lesable położył przed sobą zegarek na stole i z gorączkową niecierpliwością oczekiwał piątej godziny. Wymknął się razem z uderzeniem wielkiego zegara na głównym dziedzińcu, po raz pierwszy opuszczając biuro punktualnie według regulaminu.

Nurtował go tak żywy niepokój, że wziął nawet dorożkę. Potem wbiegł po schodach.

Otworzyła mu służąca.

– Jak się miewa? – wybełkotał.

– Lekarz mówi, że bardzo źle.

Waliło mu serce, nie opuszczało go wzburzenie:

– Ach, niemożliwe! Czyżby przypadkiem zamierzała umrzeć?

Nie śmiał już teraz wejść do pokoju chorej, kazał więc wywołać doglądającego jej Cachelina.

Teś ukazał się natychmiast, ostrożnie otwarłszy drzwi. Był w szlafroku i szlafmocy, tak jak zwykł był spędzać wieczory w domowym zaciszu.

– Źle, bardzo źle – wyszeptał. – Od czterech godzin jest nieprzytomna. Po południu opatrzone ją nawet świętymi sakramentami.

Lesable poczuł, że słabną mu nogi, więc usiadł.

– Gdzie jest moja żona?

– Jest przy niej.

– Co właściwie powiedział lekarz?

– Powiedział, że to atak. Może zeń wyjść, ale równie dobrze może umrzeć jeszcze tej nocy.

– Czy ojciec mnie potrzebuje? Bo jeżeli by ojciec mnie nie potrzebował, to wolałbym tam nie wchodzić. Byłoby mi przykro oglądać ją w takim stanie.

– Dobrze. Idź do siebie. Jeżeli zdarzy się coś nowego, to zaraz każę cię zawezwać.

Lesable powrócił do siebie. Mieszkanie wydało mu się odmienione, większe, jaśniejsze, ale ponieważ nie mógł usiedzieć na miejscu, wyszedł na balkon.

Były już pierwsze dni lipca i wielkie słońce, które za chwilę miało zniknąć za dwiema wieżami Trocadéra, zsyłało płomienny deszcz na stłoczone dokoła dachy.

Począwszy od buchającej z dołu czerwieni, przestrzeń przybierała wyżej odcień bladego złota, nad nim odcienie żółte, wyżej odcienie zielone, o zieleni zwiewnej i powleczonej światłem, a jeszcze wyżej stawała się błękitna czystym i świeżym błękitem, unoszącym się ponad głowami.

Ledwie dostrzegalne jaskółki przelatywały na kształt strzał, rysując na różnym tle nieba zakrzywiony i ścięty profil swych skrzydeł. Ponad niezliczonym mnóstwem domów i ponad dalekimi polami szybowała chmura, ognisty opar, do którego – niby w jakiejś apoteozie – wspinały się strzały dzwonnicy i każdy z wysmukłych szczytów budowli. Łuk Tryumfalny na placu Etoile wznosił się olbrzymi i czarny w pożarze horyzontu, a kopuła Inwalidów wydawała się drugim słońcem, które z nieboskłonu spadło na ramiona gmachu.

Lesable trzymał się obydwoma rękami żelaznej poręczy, pijąc powietrze tak, jak się pije wino. Tyle naszło go radości głębokiej i tryumfalnej, że miał ochotę skakać, krzyczeć, gwałtownie gestykulować. Życie wydało mu się promienne, przyszłość pełna szczęścia. Co teraz uczyni? Pogrążył się w marzeniach.

Drgnął usłyszawszy szmer za plecami. To była jego żona. Miała zaczerwienione oczy, policzki trochę zapuchnięte, w całej postaci widać było znużenie. Podała mu czoło do pocałunku i rzekła:

– Pójdziemy na obiad do taty, ażeby być przy niej blisko. Służąca nie odejdzie od niej, dopóki nie zjemy.

Poszedł za żoną do sąsiedniego mieszkania.

Cachelin siedział już przy stole, oczekując na córkę i zięcia. Kura na zimno, sałatka z kartofli i patera z truskawkami stały na kredensie, a zupa dymiła z talerzy.

Zajęto miejsca.

– Takich dni – oznajmił Cachelin – nie chciałbym często przeżywać. To nie jest wesołe.

Wyrzekł te słowa z pewną obojętnością w głosie i z pewnego rodzaju zadowoleniem na twarzy. Jął pożerać z wielkim apetytem, uznawszy kurę za wyśmienitą w smaku, a sałatkę z kartofli za nader pokrzepiającą.

Natomiast Lesable czuł, że żołądek mu się ściska, a duszę ogarnia niepokój, jadł więc niewiele, wyteżając słuch w stronę sąsiedniego pokoju, który pozostawał niemy, jak gdyby nikogo w nim nie było. Kora nie odczuwała wcale głodu, była przejęta i popłakiwała, wycierając sobie od czasu do czasu oczy rogiem serwetki.

– Co powiedział naczelnik? – zapytał Cachelin.

Lesable podał szczegóły, ale też pragnął informacji bardziej drobiazgowych, kazał je sobie powtarzać i nalegał, aby mu opowiedziano o wszystkim, jak gdyby nie był w ministerstwie od roku.

– To musiało zrobić wrażenie, gdy się dowiedziano, że jest chora? – I myślał o swym pełnym chwały powrocie do biura po jej śmierci, o minach kolegów. – To nie znaczy, żebym

zyczył cokolwiek złego tej drogiej kobiecie! – powiedział wszelako, jak gdyby odpierał ukryte wyrzuty sumienia. – Bóg jeden wie, że chciałbym, aby żyła jak najdłużej, ale to i tak wyrze swoje wrażenie. Ojciec Savon zapomni o Komunie.

Zaczęto jeść truskawki, gdy uchyliły się drzwi od pokoju chorej. Poruszenie wśród obiadujących było tak wielkie, że w przerażeniu wszyscy nagle powstali. Ukazała się służąca ze swym zwykłym spokojnym i tępym wyrazem twarzy.

– Już nie oddycha – wyrzekła spokojnie.

Cachelin popędził jak szalony, rzuciwszy serwetkę pomiędzy naczynia. Za nim z bijącym sercem pobiegła Kora, natomiast Lesable zatrzymał się przy drzwiach, śledząc z daleka ciemną plamę łóżka, ledwie widocznego w świetle kończącego się dnia. Widział plecy swojego teścia, pochylonego nad łóżkiem i nasłuchującego w bezruchu, i nagle usłyszał jego głos, zdający się dochodzić z daleka, z bardzo daleka, z końca świata, jeden z tych głosów, które odzywają się w snach, mówiąc nam o rzeczach zdumiewających. Ten głos wyrzekł: – Skończone! Nic nie słyhać. – Widział, jak jego żona upadła na kolana, oparła czoło na pościeli i szlochała. Wtedy zdecydował się wejść, a ponieważ Cachelin wstał, ujrzał na białej poduszce twarz ciotki Karoliny z zamkniętymi oczyma, tak zapadłą, tak sztywną i tak bladą, że wyglądała na figurkę z wosku.

– Czy to koniec? – zapytał trwożnie.

Cachelin, który również przypatrywał się swej siostrze, odwrócił się ku niemu i spojrzeli sobie w oczy. – Tak – odpowiedział, usiłując nadać swej twarzy wyraz rozpacz, ale obydwaj mężczyźni przejrzeni się od pierwszego rzutu oka i instynktownie, sami nie wiedząc czemu, podali sobie dłonie, jak gdyby jeden chciał podziękować drugiemu za to, co każdy z nich dla drugiego uczynił.

Nie tracąc czasu zajęto się skwapliwie wszelkimi czynnościami, których wymaga śmierć.

Lesable ofiarował się pójść po lekarza i możliwie najszybciej uporać się z najpilniejszą bieraniną.

Wziął kapelusz i zbiegł pędem po schodach, aby czym prędzej znaleźć się na ulicy, aby zostać sam na sam z sobą, oddychać, myśleć i w samotności cieszyć się swym szczęściem.

Gdy załatwił wszystkie sprawy, nie powrócił do domu, lecz dotarł do bulwarów, pchany żądzą patrzenia na ludzi, zmieszania się z tłumem, z wesołym życiem wieczoru. Brała go ochota, by wołać do przechodniów: „Mam pięćdziesiąt tysięcy franków renty!” Szedł z rękami w kieszeniach, zatrzymując się przed wystawami, przypatrując się drogiem materiałom, klejnotom i luksusowym meblom. Nie opuszczała go radosna świadomość: „Teraz będę mógł sobie to wszystko kupić”.

Gdy przechodził przed zakładem pogrzebowym, błysnęła w nim nagła myśl: „A jeżeli ona nie umarła? Jeżeli się pomyłono?”

Udał się przeto ku domowi, przyśpieszywszy kroku i z niepewnością w sercu.

– Czy był doktor? – zapytał wchodząc.

– Tak – odpowiedział Cachelin. – Stwierdził zgon i wziął na siebie zgłoszenie w urzędzie.

Weszli do pokoju zmarłej. Kora siedziała w fotelu i wciąż płakała. Płakała cichutko, łagodnie, już niemal bez smutku, z tą pobudliwością do płaczu, do jakiej zdolne są kobiety.

– Teraz – rzekł z cicha Cachelin, gdy znaleźli się w trójkę sami, w mieszkaniu – skoro dziewczyna poszła spać, możemy sprawdzić, czy nie ma czegoś schowanego w meblach.

Obydwaj mężczyźni zabrali się do dzieła. Opróżniali szuflady, przeszukiwali kieszenie, rozwijali najmniejszy papierek. Aż do północy nie znaleźli nic interesującego. Kora zdrzemnęła się i pochrapywała miarowo. Cezar zapytał: – To mamy zostać tu aż do świtu? – Lesable wahając się, uznał to za bardziej właściwe. Wówczas teść powziął decyzję. – Wobec tego – powiedział – przyniesmy fotele. – Poszli więc po dwa wyściełane fotele, które zdobiły pokój młodych małżonków.

W godzinę później wszyscy troje chrapali nierówno, śpiąc przy trupie, zlodowaciałym w

swej wieczystej nieruchomości.

Zbudzili się o białym dniu, gdy służąca weszła do pokoju.

– Zdrzemnąłem się jakieś pół godziny temu – wyznał zaraz Cachelin, przecierając sobie powieki.

– Zauważyłem to od razu – oświadczył Lesable, który natychmiast odzyskał panowanie nad sobą. – Ja nie straciłem świadomości ani na chwilę. Zamknąłem jedynie oczy, aby im dać wypoczynek.

Kora wróciła do siebie.

– Kiedy chcesz. Może... z samego rana – powiedział z obojętnością – chce ojciec pójść do notariusza, aby zapoznać się z treścią testamentu?

– Kiedy chcesz. Może... z samego rana.

– Czy Kora musi nam towarzyszyć?

– Tak chyba byłoby lepiej, skoro ona jest główną spadkobierczynią.

– Wobec tego pójde ją uprzedzić, aby się przygotowała.

I Lesable wyszedł swym prędkim krokiem.

Kancelarię pana Belhomme właśnie otwierano, gdy Cachelin i Lesable z żoną zjawili się w grubej żałobie i ze smutkiem na twarzach.

Notariusz przyjął ich natychmiast, prosząc o zajęcie miejsc.

– Pan mnie zna – zabrał głos Cachelin. – Jestem bratem panny Karoliny Cachelin, a to moja córka i mój zięć. Moja biedna siostra umarła wczoraj. Pogrzebiemy ją jutro, ponieważ zaś u pana złożony jest testament, przychodzimy zapytać, czy zmarła nie wyraziła jakiegokolwiek życzenia odnośnie do swego pogrzebu albo czy też nie ma nam pan czegokolwiek do zakomunikowania.

Notariusz otworzył jedną z szuflad, wziął stamtąd kopertę, rozerwał ją i rzekł wyjąwszy arkusz papieru: – Oto, proszę pana, kopia testamentu, którego treść mogę panu niezwłocznie zakomunikować. Drugi tekst, identyczny z niniejszym, musi pozostać w moich rękach.

Ja – czytał – niżej podpisana Wiktoryna Karolina Cachelin, daję tu wyraz swej ostatniej woli.

Cały swój majątek, wynoszący około miliona stu dwudziestu tysięcy franków, zapisuję dzieciom, które urodzą się z małżeństwa mojej bratanicy, Celestyny Koralii Cachelin, zastrzegając korzystanie z dochodów rodzicom aż do pełnoletności najstarszego z potomków.

Następujące postanowienia określają części przypadające każdemu z dzieci oraz część pozostająca przy rodzicach aż do końca ich dni.

W wypadku gdyby moja śmierć nastąpiła wprzód, nim moja bratanica urodzi spadkobiercę, cały mój majątek pozostanie na przeciąg trzech lat w rękach notariusza, aby moja powyżej wyrażona wola mogła być spełniona, jeżeli dziecko narodzi się w tym okresie.

Natomiast w wypadku, gdy Koralia nie otrzyma od niebios potomka w przeciągu lat trzech od mojej śmierci, notariusz zatroszczy się o to, aby cały mój majątek został rozdzielony pomiędzy ubogich i zakłady dobroczynne według listy następującej...

Następował nieskończony szereg nazw instytucji, cyfr, rozporządzeń i postanowień.

Pan Belhomme złożył grzecznie papier w ręce osłupiałego Cachelina.

Uznał również za stosowne dorzucić kilka wyjaśnień.

– Gdy panna Cachelin – powiedział – zaszczyliła mnie po raz pierwszy rozmową o projekcie testamentu w wiadomym sensie, dała wyraz ostatniemu pragnieniu, aby ujrzeć spadkobiercę swej krwi. Odpowiadała na wszelkie moje argumenty tym, że kładła coraz większy nacisk na swą decyzję, która zresztą miała źródło w przekonaniu religijnym, że – jak mniemała testatorka – związek bezdzietny jest znakiem gniewu bożego. Nie mogłem w niczym zmienić jej intencji. Proszę mi wierzyć, że bardzo mi z tego powodu jest przykro.

Na koniec dodał uśmiechając się do Koralii:

– Nie wątpię, że *desideratum* nieboszczki wkrótce się urzeczywistni.

Odchodząc byli wszyscy troje zbyt osłupiali, aby zebrać myśli.

Zdążali ku domowi, idąc obok siebie bez słowa, ze wstydem i wściekłością, jak gdyby się wzajemnie pookradali. Nawet z serca Kory znikł nagle wszelki żal, gdyż niewdzięczność ciotki uwalniała ją od jej oplakiwania. Wreszcie Lesable, którego pobladłe wargi zacięte były skurczem gniewu, rzekł do teścia:

– Proszę mi dać ten dokument, abym się mógł zapoznać z nim *de visu*³.

Cachelin podał mu papier, a młody człowiek począł czytać. Zatrzymał się na chodniku i stał tak, potrącany przez przechodniów, zagłębiając się w słowa okiem przenikliwym i doświadczonym. Pozostali dwoje oczekiwali nań o dwa kroki z przodu, trwając nadal w milczeniu.

Lesable oddał testament i oświadczył:

– Nic nie można poradzić. Pięknie nas okpiła!

– Powinieneś być mieć dziecko, do kroćset! – odparł Cachelin podrażniony zawiedzioną nadzieją. – Wiedziałeś dobrze, że go od dawna pragnęła.

Lesable wzruszył ramionami i nie odrzekł nic.

W mieszkaniu zastali tłum oczekujących na nich ludzi, tych ludzi, których praktyka zawodowa obraca się wokół umarłych. Lesable poszedł do siebie, nie chcąc się niczym zajmować. Cezar zwymyślał całą tę czeredę, uznawszy, że się za długo zwleka z uwolnieniem go od tego trupa. Krzyczał, aby go zostawiono w spokoju, żądał, by jak najszybciej z tym wszystkim skończono.

Zamkniętej w swoim pokoju Kory nie było słyhać zupełnie. Natomiast Cachelin po upływie godziny zapukał do drzwi swego zięcia.

– Przychodzę, drogi Leopoldzie – powiedział – podsunąć ci kilka myśli, bo ostatecznie trzeba się porozumieć. Moim zdaniem należy mimo wszystko urządzić przyzwoity pogrzeb, aby nie zwrócić na siebie uwagi w ministerstwie. Złożymy się na koszty. A poza tym nic nie jest stracone. Pobraliście się niedawno i trzeba by wyjątkowego zbiegu okoliczności, żebyście nie mieli dzieci. Zabierzcie się do tego i już. Przejdźmy do spraw pilniejszych. Czy podejmiesz się pójść niezadługo do ministerstwa? Ja biorę się do adresowania zawiadomień.

Lesable kwaśno przyznał teściowi rację. Usadowili się naprzeciw siebie u dwu końców długiego stołu i poczęli wypisywać adresy na kartach w czarnej obwódce.

Następnie zjedli śniadanie. Kora zjawiała się obojętna, jak gdyby nic z tego, co się działo, jej nie dotyczyło, i po wczorajszym przegłodzeniu się jadła dużo.

Wróciła do swego pokoju, zaledwie skończono posiłek.

Lesable wyszedł, udając się do ministerstwa marynarki, a Cachelin usadowił się na balkonie, aby wypalić fajkę. Siedział okrakiem na krześle. Ciężkie słońce letniego dnia padało pionowo na niezliczone dachy, z których te i owe były zaopatrzone w szyby i błyszczały jak ogień, ciskając rażące i nieznośne dla wzroku promienie.

Zdjąwszy marynarkę Cachelin – mrużąc oczy pod tymi strumieniami światła – patrzył na zielone pagórki tam daleko, daleko, poza wielkim miastem, poza spowitymi w kurz przedmieściami. Marzył, że szeroka, spokojna i rzeźwa Sekwana płynie u stóp tych wzgórz, zarosłych drzewami na zboczach. Wyobrażał sobie, że byłoby o wiele przyjemniej leżeć brzuchem na trawie, pod zielonym listowiem, tuż nad rzeką, niż siedzieć na rozpalonej blasze swego tarasu. Ale jednocześnie prześladowało go niemiłe uczucie, dokuczliwa myśl, bolesna świadomość klęski, tym bardziej gorzkiej i tym brutalniejszej, im dłuższa i żywsza była nadzieja. Wyrzekł głośno, jak to się czyni w wielkich rozterkach ducha i przy natrętnych myślach: – Wstrętny babsztyl!

Z pokoju dochodziły go odgłosy krzątania pracowników zakładu pogrzebowego i nieustanny łoskot młota wbijającego gwoździe w trumnę. Nie zajrzał do siostry od czasu

wizyty u notariusza.

Jednakże stopniowo ciepło, wesołość i urocza jasność pełnego dnia letniego przeniknęły mu ciało i duszę. Pomyślał, że nie ma jeszcze powodu do rozpacz. Dlaczegożby jego córka nie miała urodzić dziecka? Nie upłynęły jeszcze dwa lata od jej zamążpójścia! Zięć wygląda na silnego, dobrze zbudowanego i zdrowego, chociaż jest niski. Będą mieli dziecko, u licha! A zresztą muszą je mieć!

Lesable wszedł do ministerstwa ukradkiem i wśliznął się do swej kancelarii. Na stole znalazł kartkę z następującymi słowami: „Naczelnik pana prosi”. W pierwszej chwili miał odruch zniecierpliwienia, buntu przeciwko temu despotyzmowi, który znowu walił mu się na kark, potem jednak podbechtało go nagle i silne pragnienie dopięcia swego! I on z kolei będzie naczelnikiem – i to szybko! Pójdzie jeszcze wyżej!

Udał się do pana Torchebeuf, nie zdejmując wyjściowego surduta. Wszedł z miną strapioną, taką, jaką przybiera się w smutnych okolicznościach, a nawet miał na twarzy coś więcej oznaki rzeczywistego i głębokiego smutku, owo niezamierzone przygnębienie, które wyciska swe piętno na rysach wśród gwałtownych przeciwności losu.

Wielka głowa naczelnika zawsze schylona nad papierami podniosła się ku niemu.

– Potrzebowałem pana przez całe rano. Dlaczego pan nie przyszedł? – zapytał szorstko.

– Drogi szefie – odparł Lesable – spotkało nas nieszczęście, straciliśmy bowiem naszą ciotkę, pannę Cachelin, i przyszedłem nawet prosić pana o wzięcie udziału w pogrzebie, który odbędzie się jutro.

Twarz pana Torchebeuf rozpozgodziła się natychmiast. Odrzekł z pewnym odcieniem szacunku w głosie:

– W takim razie, mój drogi przyjacielu, to coś całkiem innego. Dziękuję panu i zwalniam go, bo na pewno ma pan wiele do załatwienia.

Atoli Lesable pragnął okazać się służbistą.

– Dziękuję, naczelniku, już wszystko załatwione i zamierzam pozostać aż do godziny przewidzianej w regulaminie.

I powrócił do swego biura.

Nowina rozeszła się po biurze, zewsząd więc przychodzono do Lesable'a z grzecznościami, raczej winszując mu niż współczując, a chciano przy tym zobaczyć, jak on się zachowuje. Wytrzymał słowa i spojrzenia ze zrezygnowaną maską aktora i z taktem, nad którym się zdumiewano. – Pilnuje się nadzwyczajnie – mówili jedni. A drudzy dodawali:

– Bądź co bądź w głębi duszy musi być setnie zadowolony.

Śmielszy od innych Maze zapytał go swobodnym tonem człowieka światowego:

– Czy zna pan ściśłą cyfrę majątku?

– Nie – odpowiedział Lesable tonem doskonałej obojętności. – Ściśle jej nie znam. Testament opiewa na coś około miliona dwustu tysięcy franków. Wiem o tym, ponieważ, notariusz miał obowiązek zakomunikować nam niezwłocznie pewne klauzule dotyczące pogrzebu.

Ogólnie mniemano, że Lesable opuści ministerstwo. Przy sześćdziesięciu tysiącach franków renty nikt nie ma ochoty być gryzpiórkiem. Jest się kimś, zostaje się tym, czym się chce. Jedni uważali, że sięgnie po stanowisko w Radzie Państwa, inni sądzili, że pomyśli o posłowaniu. Naczelnik oczekiwał tylko jego rezygnacji, aby zaraz przekazać ją dyrektorowi.

W pogrzebie, który uznano za marny, wzięło udział całe ministerstwo. Powtarzano sobie z ust do ust: „To sama panna Cachelin tak zarządziła. Tak było w testamencie”.

Cachelin podjął swą zwykłą pracę nazajutrz, a po tygodniowej niedyspozycji z kolei powrócił do biura i Lesable, nieco pobladły, ale obowiązkowy i gorliwy jak przedtem. Można by mniemać, że nie wydarzyło się nic w ich życiu. Zauważono jedynie, że palili ostentacyjnie grube cygara i że rozmawiali o rentach, kolejach żelaznych i poważnych papierach wartościowych jak ludzie, którzy mają odnośne dokumenty w kieszeni i o których

dowiadujemy się po pewnym czasie, że wynajęli willę w okolicy Paryża, aby w niej spędzać resztę lata.

Są tak samo chciwi jak stara – myślano. – To pozostaje w rodzinie. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Niemniej jednak nieładnie jest tkwić w ministerstwie, gdy się ma taki majątek.

Po pewnym czasie przestano o tym myśleć. Sklasyfikowano i oszczędzono obydwu.

4

Idąc za pogrzebem ciotki Karoliny Lesable marzył o milionie. Dręczony tym większą wściekłością, że musiał ją ukrywać, żywił do wszystkich urazę z powodu swej żalostnej przygody.

Dlaczego – zapytywał przy tym samego siebie – nie mieliśmy dziecka w ciągu dwóch lat naszego małżeństwa?

I strach przed bezdzietnością przyprawiał go o bicie serca.

Tedy jak ulicznik, który dostrzega na szczycie masztu szczęścia połyskującą wysoko nagrodę i uważa, że jest w stanie tam dotrzeć dzięki swej energii i woli, że ma niezbędną do tego siłę i wytrwałość, tak Lesable powziął rozpaczliwą decyzję zostania ojcem. Tylu innych ludzi jest ojcami, dlaczegóż nie ma nim zostać i on? Możliwe, że wykazywał niedbalstwo i lekceważenie, że na skutek zupełnej obojętności nie orientował się w pewnych sprawach. Ponieważ nigdy nie doznawał gwałtownego pragnienia, aby zostawić po sobie spadkobiercę, nie dokładał nigdy wszystkich starań, aby rezultat ten osiągnąć. Teraz zabierze się do tego z całą zaciekłością, niczego nie zaniedba i dopnie swego, skoro tak chce.

Ale gdy powrócił do domu, poczuł się niezdrów i musiał położyć się do łóżka. Rozczarowanie było zbyt silne i odbiło się na jego zdrowiu.

Lekarz uznał jego stan za dość poważny i nakazał zupełny spokój, a to wymagało dłuższego uważania na siebie. Obawiano się zapalenia opon mózgowych.

Mimo to po tygodniu wstał i podjął swą pracę w ministerstwie.

Uważając się jednak nadal za chorego, nie śmiał zbliżyć się do małżeńskiego łóżka. Wahał się i lękał jak generał, który ma stoczyć bitwę, tę bitwę, od której zawisła jego przyszłość. Każdego wieczoru odkładał sprawę do jutra, czekając na chwilę zdrowia, dobrego samopoczucia i przyływu energii, gdy człowiek czuje się zdolnym do wszystkiego. Co chwila badał sobie puls i uznając, że bije zbyt słabo i niespokojnie, przyjmował leki, jadł surowe mięso, a przed powrotem do domu odbywał długie, forsowne spacery.

Ponieważ jednak nie powrócił do pożądanego stanu zdrowia, powziął myśl spędzenia reszty upalnych dni w okolicach Paryża. Z miejsca nabrał przekonania, że świeże powietrze wiejskie wywrze zbawienny wpływ na jego ustrój. W takich sytuacjach wieś daje rezultaty cudowne i rozstrzygające. Uspokoiwszy się myślą o bliskim sukcesie, mawiał do teścia, podkreślając niedopowiedzenia tonem głosu: – Gdy pobędziemy na wsi, poczujemy się lepiej – i wszystko się ułoży.

Już samo słowo „wieś” zdawało się dlań mieć znaczenie tajemnicze.

Wynajęli tedy we wsi Bezons mały domek i zamieszkali w nim wszyscy troje. Obydwaj mężczyźni chodzili co rano piechotą przez pola do dworca w Colombes i pieszo wracali co wieczór.

Zachwycona życiem nad cichą rzeką, Kora przesiadywała na jej brzegach i przynosiła wielkie bukiety aromatycznych ziół.

Co wieczór chodzili we trójkę wzdłuż rzeki aż do jazów pod Morue i wstępowali na butelkę piwa do restauracji „Pod lipami”. Rzeka, zatrzymana długim szeregiem pali, wyrwała się przez szczeliny, skakała w dół, burzyła się i pieniała na szerokości stu metrów, a szum wodospadu wprawiał ziemię w drżenie, podczas gdy przejrzysta mgła, wilgotny opar, unosiła się w powietrzu, wzbijała się z kaskady jak lekki dym, szerząc wokół zapach

rozpylonej wody i poruszonego mułu.

Zapadała noc. Wprost przed nimi wielka luna znaczyła miejsce Paryża, a Cachelin powtarzał co wieczór: „Cóż to jednak za miasto!” Od czasu do czasu pociąg, przejeżdżający po żelaznym moście, który przecina kraniec wyspy, odzywał się z hukiem grzmotu i wnet znikał bądź w lewo, bądź w prawo: ku Paryżowi albo ku morzu.

Powracali wolnym krokiem, oglądając wschód księżyca, przysiadając nad rowami, aby dłużej widzieć padające na spokojną rzekę żółte, łagodne światło, które zdawało się płynąć razem z prądem, poruszane marszczeniem się wody jak płomienna mora. Ropuchy pokrzykiwały metalicznie i krótko. W powietrzu niesły się wołania nocnych ptaków, a niekiedy wielki i niemy cień przesuwiał się po rzece, mącąc jej świetlisty i cichy bieg. To była barka rzecznych kłusowników, którzy nagle zarzucali niewody i bezszelestnie, w wielkiej i ciemnej sieci wciągali na łódź złowione kiełbie, lśniące i trzepoczące się, jak skarb wydobyty z głębi wód, żywy skarb srebrnych ryb.

Roztkliwiona Kora opierała się czule na ramieniu męża. Odgadywała jego zamiary, chociaż nie wspominali o niczym. Był to dla nich jak gdyby nowy okres narzeczeństwa, wtóre oczekiwanie na pieśczętą miłosną. Niekiedy rzucał jej przelotny pocałunek tuż koło ucha, u nasady karku, w ten uroczy dołek delikatnego ciała, gdzie kędzierzawią się cienkie włoski. Odpowiadała mu przytuleniem ramienia. Pragnęli się wzajemnie, wzbraniając się jeszcze jedno przed drugim, pchani i powstrzymywani wołają od nich silniejszą: widmem miliona.

Uspokojony dającą się wyczuć wokoło niego nadzieją, Cachelin żył beztrząsco. Pił jak smok i jadł mnóstwo, czując, jak o zmierzchu rodzą się w nim poetyckie wzruszenia, owo naiwne rozrzewnienie, opanowujące najlepszych nawet ludzi wobec niektórych widoków przyrody: deszczu światła wśród gałęzi, zachodu słońca na dalekich wzgórzach z purpurowymi odblaskami na rzece.

– W obliczu takich rzeczy – oznajmił – wierzę w Boga. Tu mnie ściska – pokazał na dołek – i wszystko się we mnie przewraca. Robi mi się jakoś dziwnie. Zdaje mi się, że mnie zanurzono w kąpieli, po której ogarnia mnie ochota do płaczu.

Lesable tymczasem miewał się lepiej, porwany nagle namiętnościami, które przestał już odczuwać: potrzebą biegania jak młody koń, tarzania się po trawie i radosnego pokrzykiwania.

Uznał, że nadszedł czas. Była to prawdziwa noc poślubna.

Po niej przeżyli miodowy miesiąc pieśczęt i nadziei.

A potem spostrzegli, że ich usiłowania pozostały bezowocne i że ich wiara była daremna.

Równało się to rozpaczy i klęsce. Lesable nie stracił jednak otuchy i powtarzał uporczywie swe nadludzkie wysiłki. Miotana tymi samymi pragnieniami, podlegająca tym samym obawom, a silniejsza odeń żona poddawała się chętnie jego usiłowaniom, prowokowała pocałunkami i nieustannie podniecała opadające w nim namiętności.

Powrócili do Paryża w pierwszych dniach października.

Pożycie stało się ciężkie. Mieli teraz na wargach obelżywe słowa, a wietrzący sytuację Cachelin zadreślał ich jadowitymi a tłustymi dowcipami starego żołnierza.

Prześladowała ich i wzburzała, potęgowała wzajemną do siebie urazę stała myśl o nieuchwytnym spadku. Kora mówiła teraz podniesionym głosem i besztala swego małżonka. Traktowała go jak małego chłopca, jak smyka, jak człowieka bez znaczenia. Cachelin zaś mawiał co dzień przy obiedzie:

– Gdybym był bogaty, miałbym dużo dzieci... Gdy się jest biednym, należy zachowywać rozsądek.

A zwracając się do córki dodawał:

– Ty przecież jesteś taka jak ja, ale cóż... I rzucał na zięcia spojrzenie znaczące, któremu towarzyszyło pogardliwe wzruszenie ramion.

Lesable nie odpowiadał nic, jak człowiek wyższy, który dostał się w chamską rodzinę. W

ministerstwie spostrzeżono, że źle wygląda. Sam naczelnik zapytał go któregoś dnia:

– Czy pan nie jest chory? Wydaje mi się, że się pan zmienił.

– Ależ nie, drogi szefie – odparł Lesable. – Od pewnego czasu wiele pracowałem, jak to pan mógł zauważyć.

Liczył bardzo na awans z końcem roku i w tej nadziei podjął pracowite życie wzorowego urzędnika.

Otrzymał jedynie błahą gratyfikację, mniejszą niż wszyscy inni. Cachelin, jego teść, nie dostał nic.

Ugodzony w samo serce Lesable poszedł do naczelnika i po raz pierwszy nazwał go „panem”.

– Po cóż mi tedy, proszę pana, pracować tak, jak pracuję, jeżeli nie zbieram żadnych owoców?

Wielka głowa pana Torchebeuf jak gdyby doznała wstrząsu.

– Powiedziałem już panu, panie Lesable, że w sprawach tej natury nie dopuszczam do dyskusji między nami. Powtarzam panu, że pańską reklamację uważam za niestosowną, jeżeli porównamy pański obecny majątek z ubóstwem, kolegów...

Lesable nie zdołał się pohamować.

– Ależ ja nie mam nic, proszę pana! Ciotka zapisała cały majątek pierwszemu dziecku z naszego małżeństwa. Mój teść i ja żyjemy z naszych uposażeń.

– Jeżeli nawet – odparł zdziwiony naczelnik – dziś nie ma pan nic, to w każdym razie będzie pan bogaty lada dzień. Wychodzi więc na jedno.

Lesable wyszedł bardziej zdruzgotany utratą awansu niż nieuchwytnością spadku.

Gdy kilka dni później Cachelin zjawił się rano w biurze, piękny Maze wszedł z uśmiechem na wargach, potem z błyskiem w oku ukazał się Pitolet, po nim z wyrazem podniecenia na twarzy pchnął drzwi Boissel, podśmiewając się i rzucając na obecnych porozumiewawcze spojrzenia. Ojciec Savon kopiował bez przerwy, trzymając glinianą fajkę w kącie ust. Siedział na wysokim krześle, mając obydwie nogi oparte na poprzeczce krzesła, jak to czynią mali chłopcy.

Wszyscy milczeli, jak gdyby na coś oczekiwano. Cachelin zarejestrował dokumenty, wymieniając swoim zwyczajem głośno ich treść: – Tulon. Dostawa menażek oficerskich dla „Richelieu”. – Lorient. Skafandry dla „Dessaixa”. – Brest. Badanie płótna żaglowego pochodzenia angielskiego.

Ukazał się Lesable. Przychodził teraz codziennie po odnoszące się doń sprawy, gdyż teść nie zadawał już sobie trudu, aby mu je odsyłać przez gońca.

Gdy szperał w papierach rozłożonych na biurku sekretarza od spraw ogólnych, Maze spoglądał nań spod oka, zacierając ręce, a skręcającemu papierosa Pitoletowi drgały od powstrzymanego śmiechu usta na znak nie dającej się już pohamować wesołości.

– Niech pan powie, papo Savon – zwróć się do kopisty – czy wielu rzeczy nauczył się pan w ciągu swojego żywota?

Stary nie odrzekł nic, pojmując, że zamierzano sobie z niego dworować i znowu rozprawiać o jego żonie.

– W każdym razie – podjął Pitolet – doskonale zgłębił pan tajemnicę płodzenia dzieci, skoro miał ich pan kilkoro?

Człeczyna podniósł głowę.

– Pan wie, panie Pitolet, że nie lubię żartów na ten temat. Miałem nieszczęście zaślubić niegodną towarzyszkę życia. Rozstałem się z nią, gdy uzyskałem dowód jej niewierności.

– Uzyskał pan ten dowód kilka razy, prawda? – zapytał Maze bez uśmiechu i z obojętnością w głosie.

– Tak, proszę pana – odrzekł poważnie ojciec Savon.

Pitolet znów zabrał głos:

– To nie przeszkadza, że jest pan ojcem kilkorga dzieci, trojga – mówiono mi – czy czworga?

Człeczyna poczerwieniała i jął bełkotać:

– Pan się stara mi ubliżyć, panie Pitolet, ale to się panu nie uda. Moja żona miała rzeczywiście troje dzieci. Mam podstawy przypuszczać, że pierwsze z nich jest moje, ale nie przyznaję się do dwu następnych.

– W istocie – odparł Pitolet – wszyscy mówią, że pierwsze jest pańskie. To wystarczy. Piękną rzeczą jest posiadanie dziecka, bardzo piękną i bardzo potrzebną do szczęścia! Wie pan? Założę się, że Lesable byłby zachwycony, gdyby spłodził chociażby jedno, jedno jedyne, tak jak pan.

Cachelin przestał rejestrować. Nie śmiał się, chociaż ojciec Savon był zazwyczaj jego kozłem ofiarnym, a on sam bywał niewyczerpany w nieprzyzwoitych żartach na temat małżeńskich niepowodzeń kopisty.

Lesable zagarnął już swe papiery, ale czując dobrze, że to jego zaatakowano, postanowił zostać. Przykuty do miejsca gniewem, zmieszany i rozdrażniony, szukał zarazem w myślach, kto mógł im zdradzić jego tajemnicę. Przypomniało mu się to, co powiedział naczelnikowi, i pojął od razu, że musi natychmiast wykazać jak największą energię, jeżeli nie chce stać się pośmiewiskiem całego ministerstwa.

Boissel chodził po pokoju wzdłuż i wszerz, wciąż śmiejąc się drwiąco. Wrzasnął naśladując ochrypy głos ulicznych sprzedawców.

– Tajemnica płodzenia dzieci! Dziesięć centymów, dwa sous! Kupujcie tajemnicę płodzenia dzieci, wynalezioną przez pana Savon! Mnóstwo straszliwych szczegółów!

Wszyscy poczęli się śmiać, wyjąwszy Lesable'a i jego teścia.

– Co się panu stało, Cachelin? – zapytał Pitolet, zwracając się do sekretarza. – Nie okazuje pan swej zwykłej wesołości. Zdawałoby się, że nie ma dla pana nic w tym zabawnego, że ojciec Savon miał dziecko ze swoją żoną. Dla mnie to świetny kawał, świetny kawał! Nie każdy to potrafi!

Lesable wziął się znowu do przerzucania swych papierów. Udawał, że czyta i nic nie słyszy, ale pobladał.

– Do użytku spadkobierców dla zagarnięcia spadku! – podjął Boissel tym samym głosem ulicznika. – Dziesięć centymów, dwa sous! Kupujcie!

Wtedy Maze, który uważał, że ten rodzaj dowcipów jest pośledniejszego gatunku, a do Lesable'a czuł osobistą urazę za to, że go pozbawił nadziei uzyskania majątku, którą żywił w głębi duszy, zwrócił się wprost do niego:

– Cóż to się panu stało, Lesable, żeś pan tak zbladł?

Lesable podniósł głowę i spojrzał prosto w twarz koledze. Wahał się kilka chwil, z drzeniem warg poszukując słów obraźliwych i dowcipnych zarazem, ale nie znalazłszy nic zadowalającego, odpowiedział: – Nic mi nie jest. Zdumiewa mnie tylko, że panowie roztaczają tyle dowcipu.

Wciąż nadstawiając się tyłem do ognia i podtrzymując obydwoma rękami poły swego surduta, Maze odparł ze śmiechem: – Każdy robi, co może, mój drogi, jesteśmy przecież tacy sami jak pan, nie zawsze towarzyszy nam powodzenie...

Słowa te przerwał mu wybuch śmiechu. Zdumiony ojciec Savon, pojmując niejasno, że rozmowa przestała się doń odnosić i że nie kpiono już sobie z niego, zastygł z szeroko otwartymi ustami i z piórem w powietrzu. Cachelin oczekiwał, gotów rzucić się z pięściami na pierwszego z brzegu człowieka, którego mu przypadek podsunie pod rękę.

– Nie rozumiem – wybełkotał Lesable – co mi się nie powiodło?

Piękny Maze opuścił jedną połę surduta, aby sobie podkręcić wąsa. Rzekł tonem ujmującym:

– Wiem, że osiągał pan zwykle wszystko, co pan zamierzał, niesłusznie przeto mówiłem o

panu. Zresztą chodziło o dzieci papy Savon, a nie o pańskie, gdyż pan ich nie ma. Ponieważ zaś powodzenie towarzyszy panu we wszystkich przedsięwzięciach, jest rzeczą oczywistą, że skoro pan nie ma dzieci, to nie chciał ich pan mieć.

– Dlaczego się pan do tego wtrąca? – zapytał szorstko Lesable.

Wobec tonu tak wyzywającego Maze z kolei podniósł głos.

– Powiedz no pan, o co panu chodzi! I niech no pan będzie uprzejmiejszy, jeżeli pan nie chce mieć ze mną do czynienia!

Lesable trząśł się z gniewu i stracił wszelką miarę.

– Panie Maze, nie jestem, tak jak pan, ani wielkim pyszałkiem, ani wielkim dandysem. Proszę, aby pan od tej chwili nigdy się do mnie nie odzywał. Nie dbam ani o pana, ani o panu podobnych.

I rzucił wyzywające spojrzenie na Pitoleta i Boissela.

Maze pojął natychmiast, że prawdziwa siła polega na spokoju oraz ironii, jednakże zraniony we wszystkich swych próżnościach chciał ugodzić przyjaciela w samo serce. Podjął tonem protekcyjnym, tonem życzliwego doradcy, aczkolwiek w oczach miał wściekłość:

– Mój drogi Lesable, pan przekracza wszelkie granice. Zresztą rozumiem pański gniew, bo przykro jest, gdy się traci fortunę i gdy się ją traci dla błahostki, dla rzeczy tak łatwej, tak prostej... Niech pan posłucha! Jeżeli pan zechce, to ja oddam panu tę przysługę, ja sam, za darmo, z czystej koleżeńskości. To sprawa pięciu minut...

Mówił jeszcze, gdy dostał w sam środek piersi kałamarzem ojca Savon, ciśniętym przez Lesable'a. Strumień atramentu zalał mu twarz, przeobrażając go ze zdumiewającą szybkością w Murzyna. Wywracając białka, skoczył z ręką podniesioną do bicia. Ale Cachelin zasłonił swego zięcia. Chwycił wpół rosnącego Maze'a i popychając go przed sobą, potrząsając nim, okładając go razami odrzucił pod ścianę. Maze wyrwał mu się gwałtownym ruchem, otworzył drzwi, zawołał do obydwu mężczyzn: – Poczekajcie! Ja wam pokażę! – i znikł.

Pitolet i Boissel poszli w jego ślady. Boissel tłumaczył swą powściągliwość obawą, aby kogoś nie zabił biorąc udział w bójce.

Powróciwszy do swego pokoju, Maze od razu zabrał się do robienia porządku koło siebie, co mu się jednak nie udawało. Był pomazany atramentem zabarwionym na fioletowo, który zwano nie ścierającym się i wiecznym. Z wściekłością i rozpaczą patrzył w lustro, wycierając się zaciekle zwiniętym w kłębek ręcznikiem. Uzyskiwał w rezultacie głębszą jeszcze czerń, wpadającą w odcień czerwony przy napływie krwi do skóry.

Boissel i Pitolet przyszli za nim i udzielali mu rad. Według pierwszego z nich należało umyć twarz czystą oliwą, według drugiego natomiast skuteczne miało być obmycie amoniakiem. Posłano gońca biurowego po radę do aptekarza. Przyniósł jakiś żółty płyn oraz pumeks. Nie osiągnięto żadnego rezultatu.

Zniechęcony Maze usiadł i oświadczył: — Teraz pozostaje do załatwienia sprawa honoru. Czy zechcielibyście udać się do Lesable'a jako moi świadkowie i zażądać odeń albo zadowolającego przeproszenia, albo satysfakcji z bronią w rękę?

Obydwaj panowie przyjęli propozycję, poczęto więc zastanawiać się nad planem działania. Żaden z nich nie miał pojęcia o tego rodzaju sprawach, ale żaden z nich również nie chciał się do tego przyznać. Zaprzątnięci myślą o tym, aby nie przekroczyć granic poprawności, wygłaszali zdania nieśmiałe i rozbieżne. Zdecydowano, że zapytają o radę pewnego kapitana fregaty, odkomenderowanego do ministerstwa dla kierowania dostawami węgla. Nie wiedział więcej niż oni. Zastanowiwszy się jednak, poradził im pójść do Lesable'a i poprosić go, aby ich skomunikował ze swymi dwoma sekundantami.

Gdy szli do gabinetu kolegi, Boissel nagle się zatrzymał.

– Czy nie należałoby w tej chwili być w rękawiczkach? – zapytał.

– Chyba tak – odrzekł Pitolet po chwilowym wahaniu. Aby jednakże kupić rękawiczki, należało wyjść z biura, a naczelnik w takich sprawach nie żartował. Posłano więc znowu

chłopca do sklepu, polecając mu, aby przyniósł partię rękawiczek dla dokonania wyboru. Nad kolorem zastanawiali się długo. Boissel chciał wziąć czarne, ale Pitolet uznał tę barwę za niestosowną w danych okolicznościach. Zdecydowali się na fioletowe.

Spostrzegłszy wchodzących uroczyście dwu mężczyzn w rękawiczkach, Lesable podniósł głowę i zapytał ostro:

– Coście panowie chcieli?

– Panie —odpowiedział Pitolet – przychodzimy z polecenia naszego przyjaciela, pana Maze, aby zażądać od pana bądź to przeproszenia go, bądź też dania mu satysfakcji z bronią w ręku za obelgi czynne, jakich się pan wobec niego dopuścił.

– Co!?! – wykrzyknął wciąż jeszcze rozjątrzony Lesable. – To on nie tylko mnie znieważa, ale śmie ponadto mnie wyzywać? Powiedźcie mu, że nim pogardzam, że pogardzam wszystkim, co mógłby powiedzieć lub zrobić.

– Zmusza nas pan – Boissel wysunął się naprzód – do opublikowania w dziennikach protokołu, który będzie dla pana bardzo nieprzyjemny.

– I który – dorzucił przebiegle Pitolet – poważnie zaszkodzi pańskiemu honorowi i pańskim przyszłym awansom.

Lesable spoglądał na nich z przygnębieniem. Co robić? Postanowił zyskać na czasie.

– Panowie – powiedział – otrzymacie moją odpowiedź w ciągu dziesięciu minut. Może zechcecie poczekać w kancelarii pana Pitolet?

Zostawszy sam, rozglądał się wokoło, jakby szukał rady i oparcia.

Pojedynek! On ma pojedynek!

Tłukło się w nim serce, przestraszył nie opuszczał tego spokojnego człowieka, który nigdy nie myślał o takiej możliwości, który nie był przygotowany na takie niebezpieczeństwo i na takie wzruszenie, który nigdy nie potrzebował utwierdzać w sobie odwagi w przewidywaniu tak potwornego wydarzenia. Chciał się podnieść, ale z bijącym sercem i osłabłymi nogami opadł z powrotem na krzesło. Od razu rozwinęła się w nim złość i opuściło go poczucie siły, jednakże myśl o opinii, która wytworzy się w ministerstwie, myśl o rozgłosie, którego sprawa w biurze nabierze, na nowo rozbudziła w nim przygasające poczucie godności własnej. Nie wiedząc, co ma postanowić, udał się do naczelnika, aby zasięgnąć jego rady.

Pan Torchebeuf był zaskoczony i milczał z zakłopotaniem. Spotkanie z bronią w ręku nie wydawało mu się konieczne, a poza tym uważał, że to wszystko jeszcze sprowadzi rozprężenie w jego wydziale.

– Nie potrafię panu nic doradzić – rozpoczął. – To sprawa honorowa, która mnie nie obchodzi. Jeżeli pan chce, to dam panu słówko do komendanta Bouc. To człowiek obeznany w tej materii i będzie mógł udzielić panu wskazówek.

Lesable przystał i poszedł do komendanta, który zgodził się nawet być jednym z sekundantów. Jako drugiego dobrał sobie zastępcę naczelnika któregoś z wydziałów.

Boissel i Pitolet oczekiwali na nich, nie zdejmując rękawiczek. Pożyczyli dwa krzesła z sąsiedniej kancelarii, aby wszystkie cztery osoby mogły usiąść.

Przywitano się z powagą i zajęto miejsca. Pitolet zabrał głos i przedstawił sytuację. Wysłuchawszy go komendant odpowiedział: – Sprawa jest poważna, ale nie wydaje mi się, aby była nie do naprawienia. Wszystko zależy od intencji stron. – Był to stary i mrukliwy marynarz, który się tym bawił.

Wywiązała się długa dyskusja, w której toku opracowano kolejno cztery projekty listów, przy czym obowiązywały dwustronne przeprosiny. Jeżeli pan Maze uzna, że na początku nie miał zamiaru obrażać pana Lesable, pan Lesable nie omieszka wyznać, jak dalece nie miał racji rzucając kałamarzem oraz wytłumaczy się ze swej nierozważnej porywczosci.

Czterej mandatariusze udali się do swych mocodawców.

Maze siedział teraz przed swym biurkiem i był żywo zaniepokojony możliwością pojedynku, chociaż licząc na wycofanie się przeciwnika, zajęty był oglądaniem swych

policzków w okrągłym zwierciadle z cyny, jednym z tych, które urzędnicy ukrywają w szufladach, aby przed wieczornym wyjściem z biura doprowadzić do ładu brody, włosy i krawaty.

Przeczytał przedłożone mu listy i oświadczył z wyraźnym zadowoleniem:

– To wydaje mi się bardzo przyzwoite. Jestem gotów podpisać.

Lesable ze swej strony przyjął bez dyskusji ustaloną przez świadków redakcję, oświadczając:

– Skoro takie jest wasze zdanie, mnie wypada jedynie podporządkować się.

Wtedy czterej pełnomocnicy zebrali się ponownie. Wymieniano listy i poważne ukłony, po czym rozstano się, skoro incydent został wyczerpany.

W całym biurze panowało niezwykle poruszenie. Urzędnicy dowiadywali się, co zaszło nowego, chodzili od drzwi do drzwi i zaczepiali się na korytarzach.

Nastąpiło ogólne rozczarowanie, gdy się dowiedziano, że sprawa jest zakończona.

– To jeszcze nie robi Lesable'owi dziecka – powiedział ktoś. Żart obiegł biuro. Któryś z urzędników zrymował piosenkę.

Jednakże gdy wszystko już zdawało się być zakończone, zjawiała się wątpliwość, którą podniósł Boissel: jak mają się zachować wobec siebie obydwaj przeciwnicy, jeżeli spotkają się oko w oko? Czy mają się przywitać, czy też udać, że się wcale nie znają? Zdecydowano, aby się spotkali niby to przypadkiem w kancelarii naczelnika i aby w obecności pana Torchebeuf wymienili kilka słów uprzejmych.

Natychmiast dopełniono tej ceremonii. Maze posłał po dorożkę i pojechał do domu, aby zmyć atrament z twarzy.

Lesable i Cachelin powracali razem. Milczeli, rozjątrzeni wzajemnie na siebie, jakby to, co się zdarzyło, było zależne od któregośkolwiek z nich. Znalazłszy się u siebie w mieszkaniu, Lesable rzucił gwałtownie kapelusz na komodę i krzyknął do żony;

– Ja już mam tego dosyć! Będę się teraz o ciebie pojedynkował.

Spojrzała nań zdziwiona i już rozdrażniona.

– Będiesz się pojedynkował? Dlaczegoż to?

– Ponieważ Maze znieważył mnie z twojego powodu.

– Z mojego powodu? – przysunęła się. – Jakim sposobem?

Usiadł z wściekłością na fotelu.

– Znieważył mnie... – odparł. – Nie potrzebuję opowiadać ci wszystkiego ze szczegółami.

Żona jednakże była ciekawa.

– Żądam, abys mi powtórzył to, co on o mnie powiedział.

Lesable poczerwieniał i wybąkał:

– Zarzucił mi... zarzucił mi... To było z powodu twojej bezpłodności.

Wzdrygnęła się, ale już za chwilę poniosła ją furia. Wybuchła, dając górę ojcowskiej szorstkości nad swą kobiecą naturą:

– Ja?... Ja jestem bezpłodna? Ja? Cóż może o tym wiedzieć ten cham? Owszem, z tobą jestem bezpłodna, ponieważ ty nie jesteś mężczyzną! Ale gdybym wyszła za kogo innego – słyszysz? Wszystko jedno za kogo! – to miałabym dzieci! Jak śmiesz tak mówić! Drogo za to zapłaciłam, żem wyszła za takiego niedołęgę jak ty!... I cóżeś odpowiedział temu lajdakowi?

Wystraszony tą burzą Lesable wyjąkał:

– Ja go... spoliczkowałem. Spojrzała nań ze zdumieniem.

– A on co zrobił?

– Przysłał mi świadków. Już wiesz?

Zainteresowała się teraz tą sprawą, porwana – jak każda kobieta – ciekawością wobec przygód dramatycznych. Udobruchała się od razu i nabrawszy nagle niejakiego szacunku dla człowieka, który miał narazić swe życie, zapytała:

– Kiedy będziecie się bić?

– Nie będziemy się bić – odpowiedział spokojnie. – Świadkowie doprowadzili do polubownego załatwienia sprawy. Maje mnie przeprosił.

Zmierzyła go wzrokiem z niezmierną pogardą.

– Ach, tak! Znieważają mnie w twojej obecności, a ty puszczasz to płazem i nie bijesz się! Jeszcze ci tego brakowało, żebyś został tchórzem!

– Rozkazuję ci, abys zamilkła! – oburzył się. – Ja lepiej niż ty orientuję się w sprawach mojego honoru. A zresztą – masz list pana Maze. Weź, czytaj, a zobaczysz.

Wzięła papier, przebiegła go wzrokiem i odgadła wszystko.

– Toś i ty napisał list? – zaśmiała się szyderczo. – Jeden bał się drugiego. Och, jakże nikczemni są mężczyźni! Gdybyśmy były na waszym miejscu, my, kobiety... Ostatecznie to ja zostałam znieważona, ja, twoja żona, a ty na tym poprzestajesz! Już mnie to nie dziwi, że nie jesteś zdolny do spłodzenia dziecka. Jedno wynika z drugiego. Jesteś takim samym... mięczakiem w stosunku do kobiet, jak w stosunku do mężczyzn. No, ładnego sobie wybrałam lalusia!

Nagle odnalazła głos i gesty Cachelina, prostackie gesty starego żołnierza i męskie brzmienie głosu.

Wziąwszy się pod boki stała przed nim wysoka, silna, jędrna, z pełną piersią, z gniewem na twarzy. Mówiła głosem głębokim i przenikliwym, a krew barwiła jej świeże i urodzive policzki. Spoglądała z góry na siedzącego przed nią małego i bladego mężczyznę, łysawego, wygolonego, z krótkimi adwokackimi faworytami. Miała ochotę udusić go, zmiażdżyć.

– Jesteś niezdolny do niczego – powtórzyła – do niczego. Pozwalasz się nawet ubiec wszystkim jako urzędnik!

W otwartych drzwiach ukazał się Cachelin, zwabiony podniesionymi głosami.

– Co się tu dzieje? – zapytał.

– Mówię – zwróciła się ku niemu – kilka słów prawdy temu błaznowi.

Podniósłszy oczy Lesable spostrzegł ich podobieństwo. Zdawało mu się, że uchylila się przed nim zasłona, ukazując mu ich takimi, jakimi byli, ojca i córkę z tej samej krwi, z tej samej rasy pospolitej i ordynarnej. Rozpoznał, że jest zgubiony, skazany na wieczne życie pomiędzy tym dwojgiem ludzi.

– Gdyby przynajmniej można się było rozwieść! – zawyrokował Cachelin. – To wcale nie jest takie miłe wyjść za mąż za kapłona.

Lesable porwał się na równe nogi, dygocząc z wściekłości, która go ogarnęła na to słowo. Ruszył na swego teścia bełkocząc:

– Wynoś się stąd!... Wynoś!... Jesteś w moim domu, słyszysz?... Ja cię wypędzam!...

I pochwywszy z komody butelkę z lekarstwem uśmierzającym wywijał nią niby maczugą.

Nastraszony Cachelin wyszedł, cofając się i pomrukując: – Cóż mu znowu strzeliło do głowy?

Atoli gniew Lesable'a bynajmniej się nie uśmierzył. Tego było za wiele. Obrócił się ku żonie, która go nadal obserwowała, nieco zdziwiona jego gwałtownością. Odstawił butelkę i krzyknął:

– A co do ciebie... co do ciebie...

Ale nie znalazłszy odpowiednich słów ani argumentów, stał przed nią, mieniąc się na twarzy i bełkocąc zmienionym głosem.

Poczęła się śmiać.

Wobec tej jeszcze bardziej obelżywej wesołości popadł w szaleństwo. Podbiegł do żony, chwycił ją lewą ręką za szyję, a prawą bił wściekle po twarzy. Cofała się w przerażeniu, tracąc oddech. Natknąwszy się na łóżko, zwała się na nie na wznak. Nie puszczał jej i bił dalej. Naraz wyprostował się i dyszał wyczerpany. Zawstydził się nagle swej brutalności. Bełkotał:

– A więc... a więc... a więc właśnie to.

Nie uczyniła najmniejszego ruchu, jakby ją zabił. Leżała na brzegu łóżka na plecach, mając teraz twarz ukrytą w obydwu dłoniach. Zbliżył się zakłopotany, pytając się w duchu, co z tego wyniknie, i spodziewając się, że gdy Kora odsłoni twarz, będzie mógł zobaczyć, co się z nią dzieje. Upłynęło kilka minut. Ogarniał go coraz większy niepokój; wreszcie szepnął:

– Kora! Słyszysz? Kora!

Nie odpowiedziała i nie poruszyła się. Co jej się stało? O czym myślała? A zwłaszcza co zamierzała uczynić?

Gdy opuściła go wściekłość, opadłszy tak samo gwałtownie, jak powstała, poczuł wstręt do siebie samego i uznał się niemal za zbrodniarza. On, człowiek poważny i opanowany, człowiek dobrze wychowany A zawsze roztropny, zbił swą żonę, swą własną żonę. W odruchu roztkliwienia miał ochotę błagać ją o przebaczenie, upaść jej do kolan, całować ten pobity i czerwony policzek. Dotknął z lekka końcem palca jednej z rąk, rozpostartych na zasłoniętej twarzy. Zdawało się, że nie poczuła nic. Pogłaskał ją taką pieśczołą, jaką się pieści warczącego psa. I tego nie dostrzegła.

– Koro! – powiedział znowu. – Koro, ja nie miałem racji, posłuchaj!

Robiła wrażenie martwej. Wtedy spróbował podnieść jedną z rąk. Dała się podnieść z łatwością i zobaczył patrzące nań otwarte oko, oko nieruchome, niepokojące i onieśmiałające.

– Posłuchaj, Koro – podjął. – Ja się uniosłem. To twój ojciec doprowadził mnie do ostateczności. Nie znieważa się w ten sposób mężczyzny.

Nie odpowiedziała nic, jak gdyby nic nie słyszała. Sam nie wiedział, co mówić, co czynić. Pocałował ją tuż przy uchu, a podnosząc się ujrzał w kąciku oka łzę, wielką łzę, która oderwała się i spłynęła żwawo po policzku. Powieka otwierała się i zamykała raz po raz.

Przejął go smutek i porwało wzruszenie, otwarłszy więc ramiona objął swą żonę. Odsunął wargami drugą rękę i wodząc pocałunkami po twarzy, prosił: – Moja biedna Koro, przebacz mi, słyszysz, przebacz mi!

Płakała bez ustanku, bezgłośnie, bez szlochania, tak jak się płacze w głębokim zmartwieniu.

Trzymał ją w uścisku i pieścił, szepcząc do ucha wszystkie czułe słowa, jakie mu przychodziły na myśl, ale ona trwała wciąż w obojętności. Mimo to przestała płakać. I pozostawali tak długo leżąc połączeni.

Zapadła noc, napelniając cieniem niewielki pokój. A gdy było już dostatecznie ciemno, nabrał odwagi i poprosił o przebaczenie w sposób wskrzeszający ich nadzieje.

Gdy wstali, odzyskała swój normalny głos i przybrała normalny wyraz twarzy, jakby nic się nie wydarzyło. Wręcz odwrotnie, zdawała się być rozczulona, mówiła tonem łagodniejszym niż zwykle, spoglądała na męża wzrokiem pokornym, prawie pieśczołliwym, jak gdyby ta nieoczekiwana kara odprężyła jej nerwy i zmiękczyła serce.

– Twój ojciec – rzekł spokojnie Lesable – pewno się nudzi sam jeden w mieszkaniu. Powinnaś pójść po niego. Zresztą byłby już czas zjeść obiad.

Posłuchała i poszła.

Istotnie, była godzina siódma i służąca zameldowała, że zupa na stole. Cachelin ukazał się z córką spokojny i uśmiechnięty. Zasiadli do stołu i gwarzyli z serdecznością już od dawna im nie znaną, jak gdyby ich wszystkich spotkało coś radosnego.

5

Jednakże ich ustawicznie podtrzymywane i ustawicznie odnawiane nadzieje zawsze okazywały się próżne. Pomimo wytrwałości Lesable'a i dobrej woli jego małżonki oczekiwania zawodziły z miesiąca na miesiąc, co wprawiało ich w gorączkowy niepokój. Nieustannie jedno drugiemu zarzucało brak powodzenia, a zrozpaczony, wychudły i

zmordowany małżonek musiał nade wszystko znosić grubiaństwa Cachelina, który w ich zbrojnej przyjaźni nie nazywał go już inaczej niż „panem Lecoq”⁴, niewątpliwie na pamiątkę tego dnia, gdy niewiele brakowało, aby dostał butelką w twarz za wypowiedzenie słowa „kapłon”.

I on, i jego córka, sprzymierzeni instynktem i opętani nieustającą myślą o wielkiej fortunie, tak bliskiej, a tak niemożliwej do pochwylenia, prześcigali się w pomysłach, aby upokorzyć i stortuować tego kalekę, który był przyczyną ich nieszczęścia.

– Skromny mamy obiad – mawiała codziennie Kora, siadając do stołu. – Byłoby inaczej, gdybyśmy byli bogaci. To nie moja wina.

Gdy Lesable wychodził do biura, wołała za nim z głębi swego pokoju:

– Weź parasol, bo wrócisz brudny jak koło omnibusu. Ostatecznie to nie moja wina, że musisz nadal wykonywać zawód gryziopiórka.

Gdy sama zamierzała wyjść, nie omieszkała nigdy zawołać:

– Pomyśleć, że gdybym wyszła za kogo innego. to miałabym własny powóz!

Myślała o tym w każdej chwili i przy każdej sposobności, drażniąc męża wyrzutami, obrzucając go obelgami, czyniąc zeń jedyne winowajcę, jedynie na niego składając odpowiedzialność za stratę owych pieniędzy, które by posiadała.

– Czy ty, do pioruna, wreszcie nie przestaniesz?! – wykrzyknął na koniec pewnego wieczoru Lesable, znowu straciwszy cierpliwość. – Przede wszystkim dowiedz się, że to wyłącznie twoja wina, jeżeli nie mamy dzieci, bo ja mam dziecko...

Kłamał, przenosząc już wszystko nad ten wieczny zarzut i nad tę hańbę uchodzenia za impotentą.

Spojrzała nań najpierw ze zdziwieniem, szukając prawdy w jego oczach, a potem zrozumiałwszy, rzekła z pełną pogardą:

– Ty masz dziecko? Ty?

– Tak – odpowiedział beczelnie. – Mam dziecko nieślubne, które wychowuje się w Asnières.

– Pojedziemy tam jutro – odparła ze spokojem. – Zobaczę, jak wygląda.

Zaczerwienił się po same uszy. – Jak chcesz – bąknął.

Następnego dnia wstała o siódmej rano, a gdy się zdziwił, odrzekła:

– To nie pojedziemy do twojego dziecka? Obiecałeś mi to wczoraj. A może przypadkiem już go dzisiaj nie masz?

Wyskoczył z łóżka jak oparzony.

– Udamy się nie do mojego dziecka, a do lekarza. Ten ci powie prawdę.

– Nie żądam niczego więcej – odpowiedziała głosem kobiety pewnej siebie.

Cachelin podjął się przekazać w ministerstwie wiadomość, że jego zięć jest chory. Poinformowani przez lekarza z sąsiedztwa, małżonkowie Lesable zadzwonili punkt o pierwszej do drzwi doktora Lefilleul, autora szeregu dzieł o rozrodczości.

Weszli do białego salonu ze złoconą ornamentacją, źle umeblowanego i robiącego wrażenie niezamieszkałej pustki pomimo mnóstwa stojących w nim krzesel. Usiedli. Lesable drżał wzburzony i zawstydzony. Gdy przyszła na nich kolej, w pokoju przypominającym biuro przyjął ich otyły mężczyzna małego wzrostu, ceremonialny i chłodny.

Oczekiwał, aby wyjaśnili, o co im chodzi, ale zaczerwieniony aż po same uszy Lesable nie odważył się na to. Wobec tego zdecydowała się jego żona i rzekła spokojnym głosem osoby gotowej na wszystko, aby dopiąć swego:

– Panie doktorze, przychodzimy do pana, ponieważ nie mamy dzieci. Od tego zależy, czy dostaniemy duży majątek.

Konsultacja była długa, drobiazgowa i przykra. Jedynie Kora nie robiła wrażenia zakłopotanej poddając się uważnym badaniom lekarza zachowywała się tak jak kobieta, którą ożywia i podtrzymuje wyższy cel.

Po blisko godzinnym badaniu obojga małżonków lekarz nie wypowiedział się zdecydowanie.

– Nie skonstatowałem nic – rzekł – nic anormalnego ani specjalnego. Z tym wypadkiem spotykamy się zresztą dość często. Tyle samo zależy od ciała co od charakteru. Skoro widzimy tyle małżeństw rozchodzących się dla niezgodności usposobień, nic dziwnego, że spotykamy u tylu innych bezpłodność z powodu niedoboru fizycznego. Pani wydaje mi się szczególnie dobrze ukonstytuowana i podatna na zapłodnienie. Pan ze swej strony, chociaż nie dostrzegam jakichkolwiek cech budowy odbiegającej od normy, wydaje mi się osłabiony, może nawet z powodu zbyt silnego pragnienia, aby zostać, ojcem. Czy pozwoli pan, że go opukam?

Zaniepokojony Lesable zdjął kamizelkę, a doktor na długo przyłgął uchem do klatki piersiowej i pleców urzędnika. Potem obstukiwał go uporczywie od żołądka aż do szyi i od łędźwi aż do karku.

Stwierdził lekkie zaburzenia w sercu, a nawet zagrożenie ze strony płuc.

– Musi pan uważać na siebie, bardzo uważać. To anemia, wyczerpanie, nic więcej. Te nieznaczące dotąd przypadłości mogłyby w krótkim czasie stać się nieuleczalne.

Poblady z trwogi Lesable poprosił o wskazówki lecznicze. Przepisano mu kurację skomplikowaną: żelazo, surowe mięso, buliony w ciągu dnia gimnastykę, wypoczynek i pobyt na wsi podczas lata. Następnie doktor udzielił im rad na przyszłość, gdy mąż poczuje się lepiej. Dał im wskazówki praktyczne, stosowane w takich wypadkach i prowadzące zazwyczaj do pomyślnych rezultatów.

Porada kosztowała czterdzieści franków.

Gdy znaleźli się na ulicy, Kora, przewidując przyszłość, wyrzekła z głuchym gniewem:

– A tom los wygrała!

Lesable nie odrzekł nic. Szedł trawiony strachem, powracając do słów lekarza i roztrząsając każde z nich. Czy aby go nie oszukiwał? Czy nie uważał go za straconego? Nie myślał już teraz ani o spadku, ani o dziecku! Chodziło o życie!

Zdawało mu się, że słyszy świst w płucach i czuje przyśpieszone bicie serca. Gdy przechodzili przez Tuilerie, zrobiło mu się słabo i zmuszony był usiąść. Zdenerwowana żona stała nad nim, aby go upokorzyć i z pogardliwą litością obrzucała go spojrzeniem od stóp do głowy. Oddychał z trudem, przesadzając wywołaną przeżyтыми emocjami zadyszkę. Palcami lewej ręki badał sobie puls na prawym przegubie i liczył uderzenia tętna.

– Czy nie dosyć tych ceregieli? – zapytała Kora, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.
– Kiedy wreszcie pójdziesz?

Podniósł się tak, jak się podnoszą ofiary i bez słowa ruszył w drogę.

Dowiedziawszy się o wyniku konsultacji, Cachelin nie zdołał powstrzymać wściekłości. – A tośmy wpadli! – wrzeszczał. – A tośmy dopiero wpadli! – I patrzył na zięcia wzrokiem tak dzikim, jakby go chciał pożreć.

Lesable nie słyszał i nie słuchał, myśląc jedynie o swym zdrowiu, o swym zagrożonym istnieniu. Ojciec z córką mogą sobie krzyczeć, bo nie są w jego skórze, a on swoją skórę chce ocalić.

Trzymał na stole butelki z lekarstwami i przy każdym posiłku dozował sobie leki wśród uśmiechów żony i hałaśliwego śmiechu teścia. Co chwila oglądał się w lustrze, co moment kładł sobie rękę na serce, ażeby stwierdzić, jak bije. Nie chcąc utrzymywać dalszych kontaktów cielesnych z Korą, kazał sobie postawić łóżko w ciemnej izdebce, która służyła za garderobę.

Żył teraz wobec żony lękliwą nienawiścią, pomieszaną z pogardą i wstrętem. Zresztą wszystkie kobiety wydawały mu się obecnie potworami, niebezpiecznymi bestiami, których rola polega na zabijaniu mężczyzn. A o testamencie ciotki Karoliny myślał już tylko tak, jak się myśli o dawnym wypadku, który nieomal nie spowodował śmierci.

Znowu upłynęły miesiące. Pozostawał już tylko rok do fatalnego terminu.

Cachelin zawiesił w jadalni ogromny kalendarz, z którego co rano wykreślał jeden dzień, a rozpacz z powodu własnej bezsilności, beznadziejne poczucie, że z każdym tygodniem coraz bardziej wymyka się ów majątek, wściekłość na myśl, że będzie musiał nadal ślezczyć w biurze, a potem żyć aż do śmierci z dwu tysięcy franków emerytury, popychała go do słów gwałtownych, które dla byle głupstwa mogły zamienić się w czynne zniewagi.

Ilekróć spojrzął na Lesable'a, aż trząsał się od szalonej ochoty, aby go bić, miażdżyć i deptać. Nienawidził go nienawiścią bez miary. Za każdym razem, gdy spostrzegł, że Lesable otwiera drzwi i wchodzi, zdawało mu się, że to wkrada się złodziej, który wydarł mu najświętszy skarb, rodzinną spuściznę. Nienawidził go silniej, niż się nienawidzi śmiertelnego wroga, a zarazem pogardzał nim za jego niedołęstwo, przede wszystkim zaś za tchórzostwo, odkąd z obawy o swe zdrowie wyrzekł się urzeczywistnienia wspólnych nadziei.

Bo istotnie Lesable trzymał się w większym odosobnieniu od żony, niżby to czynił, gdyby nie łączył ich żaden związek. Przestał się do niej zbliżać, nie dotykał jej, unikał nawet jej spojrzenia, powodowany zarówno wstydem, jak i lękiem.

– No, jakże – codziennie zapytywał Cachelin swą córkę – czy twój mąż nareszcie się zdecydował?

– Nie, papo – odpowiadała.

Co wieczór odbywały się przy stole przykre sceny.

– Gdy mężczyzna nie jest mężczyzną – powtarzał nieustannie Cachelin – to niechby raczej zdechł, aby ustąpić miejsca innemu.

– Faktem jest – dorzucała Koraz – że istnieją ludzie zupełnie niepotrzebni, którzy tylko zawadzają. Nie wiem doprawdy, co robią na świecie prócz tego, że są dla wszystkich ciężarem.

Lesable pił medykamenty i nie odpowiadał. Wreszcie pewnego wieczoru teść wykrzyknął:

– Ty, słuchaj, jeżeli teraz, gdy czujesz się lepiej, nie zmienisz swego postępowania, to wiem już, co uczyni moja córka!...

Zięć podniósł pytająco oczy, przeczuwając nową zniewagę.

– Dalibóg, że weźmie sobie innego – podjął Cachelin. – Masz wielkie szczęście, że się to jeszcze do tej pory nie stało. Wszystko jest dozwolone, gdy się wyszło za takiego nicponia jak ty.

– Ja – odrzekł posiniawszy na twarzy Lesable – nie przeszkadzam jej pójść za tą dobrą radą.

Kora spuściła oczy, a Cachelin, czując niejasno, że wyraził się zbyt mocno, okazał nieco zmieszania.

6

W ministerstwie obydwaj mężczyźni robili wrażenie ludzi żyjących w doskonałej zgodzie. Zawarli coś w rodzaju milczącego układu, aby ukryć przed kolegami rodzinne batalie. Mówili do siebie: „Mój drogi Cachelin” – „mój drogi Lesable”, udawali nawet, że żartują z sobą, że są szczęśliwi i weseli, zadowoleni ze wspólnego pożycia.

Lesable i Maze ze swej strony zachowywali się jeden wobec drugiego z ceremonialną grzecznością przeciwników, którzy omal się nie bili. Dreszcz niedosłego pojedynku wprowadził w ich stosunki przesadną grzeczność, silniej zaznaczali szacunek wzajemny i, być może, ukrytą chęć zbliżenia, wywodzącą się z niejasnej obawy przed nowymi powikłaniami. Zauważono i pochwalono tę postawę ludzi światowych, którzy mieli z sobą sprawę honorową.

Z surową powagą kłaniali się sobie z bardzo daleka dużym i pełnym godności zamachem kapelusza. Nie rozmawiali ze sobą, ponieważ żaden z nich nie chciał lub nie śmiał powziąć w

tej mierze inicjatywy.

Jednakże pewnego dnia Lesable, któremu naczelnik kazał zjawić się natychmiast, puścił się biegiem, ażeby podkreślić swą gorliwość i wtedy na zakręcie korytarza uderzył całym rozpędem w brzuch innego urzędnika, który nadchodził ze strony przeciwnej. Był to Maze. Cofnęli się obydwaj, a zmieszany Lesable zapytał ze skwapliwą grzecnością:

– Czy przypadkiem nie wyrządziłem panu krzywdy?

– Bynajmniej, proszę pana – odrzekł tamten.

Od tej chwili uznali za stosowne wymieniać kilka słów przy każdym spotkaniu. Potem, prześcigając się w kurtuazji, stali się dla siebie uprzedzająco grzeczni, co doprowadziło wkrótce do pewnego między nimi zbliżenia, a później do oględnie powściąganej zażyłości, zażyłości ludzi, którzy wreszcie poznali się na sobie, ale jakaś niezdecydowana obawa powściągała jeszcze ich zapęły. Koleżeństwo ustaliło się na koniec dzięki wzajemnym grzecnościom i odwiedzinom.

Gaworzyli teraz często, przychodząc po świeże wiadomości do sekretarza od spraw ogólnych. Lesable stracił wiele z buty urzędnika pewnego swej kariery. Maze pozbył się swej postawy człowieka światowego. Cachelin chętnie wtrącał się do rozmowy i zdawał się z zainteresowaniem śledzić tę przyjaźń. Niekiedy po odejściu przystojnego urzędnika, który wychodził z pokoju trzymając się prosto i muskając czołem górną framugę drzwi, mruczał spoglądając na swego zięcia: – Tamten to przynajmniej chwata!

Gdy pewnego przedpołudnia znaleźli się we czwórce, ponieważ ojciec Savon nie odchodził nigdy od swej pracy, krzesło kopisty, podpłowano niewątpliwie przez jakiegoś kawalarza, runęło i pocziwina stoczył się na posadzkę, wydając okrzyk przestachu.

Pozostali trzej rzucili się ku niemu. Sekretarz od spraw ogólnych przypisywał tę machinację komunardom, a Maze chciał koniecznie obejrzeć skaleczone miejsce. I on, i Cachelin usiłowali nawet rozebrać starego, aby go – jak mówili – opatrzeć. Ale ten opierał się rozpaczliwie, krzycząc, że nic mu się nie stało.

Gdy wesołość opadła, Cachelin zawołał ni stąd, ni zowąd:

– Wie pan co, panie Maze, teraz, gdy jesteśmy w dobrej komitywie, powinien by pan przyjść do nas w niedzielę na obiad. To by nam wszystkim sprawiło ogromną przyjemność: mojemu zięciowi, mnie i mojej córce, która zna dobrze pana z nazwiska, ponieważ często rozmawiamy w domu o biurze. Co, zgoda?

Lesable przyłączył się do nalegań teścia, chociaż nieco chłodniej.

– Proszę więc przyjść – powiedział. – Sprawi nam pan tym wielką przyjemność.

Maze wahał się, nie wiedząc, co czynić. Uśmiechał się na myśl o szerzących się pogłoskach.

Cachelin nalegał: – No, zgoda?

– A więc dobrze, przyjmuję.

Gdy powróciwszy do domu ojciec powiedział jej: – Wiesz, że najbliższej niedzieli pan Maze przyjdzie do nas na obiad? – zaskoczona w pierwszej chwili Kora wykrztusiła: – Pan Maze? Jakim cudem?

I sama nie wiedząc czemu, zaczerwieniła się aż po same uszy. Tak często słyszała opowiadania o nim, o jego manierach i o jego powodzeniu, tak bardzo uchodził w ministerstwie za zuchwalca w stosunku do kobiet i za kogoś, komu nie można się oprzeć, że już od dawna zbudziło się w niej pragnienie, aby go poznać.

– Zobaczysz – odparł Cachelin, zacierając ręce – że to przystojny kawaler i kawał chłopca. Ma wzrost gwardzisty, zupełnie co innego niż twój mąż!

Nie odpowiedziała nic, zmieszana tak, jakby można było wysunąć domysł, że o nim marzyła.

Przygotowaniom do obiadu poświęcono tyle samo troski, co niegdyś przyjęciu dla Lesable'a. Cachelin spierał się o potrawy, pragnął wystąpić okazale, a jakby jakaś nie

wyjawiona i chwiejna jeszcze wiara powstała w jego sercu, wydawał się weselszy, ułagodzony pewnymi przewidywaniami, dyskretnymi i niezawodnymi.

Przez całą niedzielę niespokojnie nadzorował przygotowania, podczas gdy Lesable pracował nad pewną pilną sprawą, którą przyniósł wczoraj z sobą z biura. Uplýwał pierwszy tydzień listopada i zbliżał się Nowy Rok.

Maze przybył o siódmej w doskonałym humorze. Wszedł tak jak do własnego domu i prawiąc grzeczności ofiarował Korze wielki bukiet róż.

– Mam wrażenie – dorzucił swobodnym tonem człowieka obytego w świecie – że panią trochę znam i że znałem panią jako zupełnie małą dziewczynkę, bo upłynęło już wiele lat od chwili, gdy pani ojciec zaczął mi o niej opowiadać.

– To przynajmniej jest wytworne! – zawołał Cachelin spostrzegając kwiaty. A jego córka przypomniała sobie, że Lesable nie przyniósł jej kwiatów w dniu, gdy się przyszedł przedstawić. Przystojny urzędnik wydawał się zachwycony, śmiał się dobrodusznie jak ktoś, kto przychodzi po raz pierwszy do starych przyjaciół, w stronę Kory zaś kierował dyskretnie grzeczne słówka, które zabarwiały szkarłatem jej policzki.

Uznał ją za nader pociągającą. Ona uważała, że jest czarujący. Gdy poszedł, Cachelin zapytał:

– Co? Jakież to musi być zuch – i jaki gagatek! Wygląda na takiego, który bałamuci wszystkie kobiety.

Kora, chociaż mniej skłonna do wynurzeń, przyznała jednak, że uważa go „za miłego i za mniejszego pozera, niż przypuszczała”.

Lesable, który zdawał się mniej niż zazwyczaj zmęczony i smutny, zgodził się, że „nie poznał się na nim” z początku.

Maze począł bywać najpierw oględnie, potem coraz częściej. Podobał się wszystkim. Starano się go przyciągnąć i dogadzano mu. Kora przyrządzała mu ulubione jego potrawy. Zażyłość trzech mężczyzn stała się wkrótce tak wielka, że nie rozstawali się już wcale. Nowy przyjaciel zabierał całą rodzinę do teatru, do łoży, którą otrzymywał od dziennikarzy.

Powracano aż pod rodzinne drzwi Lesable’a pieszo, wśród nocy, ulicami pełnymi ludzi. Maze i Kora szli przodem, krokiem jednakim, biodro w biodro, kołysani tym samym ruchem i tym samym rytmem niby dwie istoty stworzone po to, aby iść ramię w ramię przez życie. Rozmawiali półgłosem i porozumiewali się cudownie, śmiejąc się śmiechem stłumionym. Niekiedy młoda kobieta oglądała się poza siebie, aby rzucić spojrzenie na męża i ojca.

Cachelin obejmował ich wzrokiem życzliwym i często, nie zastanawiając się nad tym, że mówi do własnego zięcia, oznajmiał:

– A jednak mają ładną postawę. Przyjemnie jest widzieć ich razem.

– Są prawie tego samego wzrostu – odpowiadał spokojnie Lesable. Był szczęśliwy, że nie odczuwa przyspieszonego bicia serca, że nie ma zadyszki przy szybkim chodzeniu i że pod każdym względem jest zwawszy. Puszczął z wolna w zapomnienie urazę do swego teścia, którego złośliwe koncepty ustały zresztą od pewnego czasu.

Na Nowy Rok dostał awans. Doznał radości tak gwałtownej, że wróciwszy do domu ucałował swą żonę po raz pierwszy od sześciu miesięcy. Była tak osłupiała i tak zażenowana, jak gdyby uczynił coś nieprzyzwoitego. Spojrzała na Maze’a, który przybył złożyć jej z okazji pierwszego stycznia uszanowanie i życzenia. On również miał minę zakłopotaną i odwrócił się do okna, jak człowiek, który nie chce nic widzieć.

Jednakże Cachelinowi powróciły wkrótce rozdrażnienie i złość, począł więc znowu dokuczać zięciowi dowcipami. Niekiedy nawet atakował Maze’a, jak gdyby do niego również miał urazę o wiszącą nad nimi katastrofę, której nieunikniona data zbliża się z każdą chwilą.

Jedynie Kora robiła wrażenie osoby zupełnie spokojnej, zupełnie szczęśliwej, promieniejącej radością. Zdawało się, że zapomniała o groźnym, a tak bliskim terminie.

Nadszedł marzec. Wszelkie nadzieje zdawały się stracone, ponieważ dwudziestego lipca

upływały trzy lata od śmierci ciotki Karoliny.

Wczesna wiosna wydobyła kielki z ziemi. Maze zaproponował swoim przyjaciołom, aby którejs niedzieli urządzić przechadzkę nad brzegami Sekwany i szukać w krzewach fiołków.

Wyjechali rannym pociągiem i wysiedli w Maisons – Laffitte. Nagie gałęzie przebiegał jeszcze dreszcz zimowy, ale pozieleniała i lśniąca trawa była już upstrzona białymi i niebieskimi kwiatami, a drzewa owocowe na stokach zdawały się nosić girlandy z róż na swych cienkich ramionach, pokrytych rozwijającymi się pączkami.

Ponura i mętna po ostatnich deszczach Sekwana płynęła ociężale pomiędzy stromymi brzegami, podgryzionymi przez zimowe powodzie, a ociekający wodą krajobraz zdawał się wychodzić z kąpieli i parować w ciepłe pierwszych dni słonecznych słodkim zapachem wilgoci.

Zapuszczono się w park. Posepny Cachelin rozbijał laską grudy ziemi. Był bardziej niż zwykle przybity i z większą niż zwykle goryczą myślał o nieszczęściu, które wkrótce miało się dopełnić. Również osowiały Lesable obawiał się, że zamoczy sobie nogi w trawie, a tymczasem jego żona i Maze starali się zebrać bukiet Kora od kilku dni była jak gdyby cierpiąca, zmęczona i pobladła.

Zmęczyła się od razu i chciała, by gdzieś wstąpili na śniadanie. Doszli do małej restauracji przy starym, walącym się młynie. Wkrótce podano im tradycyjne śniadanie wycieczkujących paryżan w altance tuż nad rzeką, na pokrytym dwiema serwetkami drewnianym stole.

Schrupano smażone kielbkie, żółto okoloną ziemniakami wołowinę i właśnie podawano sobie pełną zielonych liści salaterkę, gdy Kora podniosła się gwałtownie, przyciskając obydwoma rękami serwetkę do ust.

– Co jej się stało? – zapytał niespokojnie Lesable.

Zmieszany Maze zaczerwienił się i bąknął:

– Ależ... nie mam pojęcia... czuła się dobrze przed chwilą. – Cachelin znieruchomiał wystraszony, trzymając w powietrzu widelec z wbitym liściem sałaty.

Podniósł się, szukając wzrokiem swej córki. Gdy się przechylił, ujrzał, że wymiotowała z głową opartą o drzewo. Nagły domysł ściał go z nóg. Opadł na krzesło, tocząc błędnym wzrokiem po obydwu mężczyznach, z których każdy zdawał się teraz jednak zmieszany. Badał ich niespokojnym spojrzeniem, pełen szalonych obaw i nadziei.

W głębokiej ciszy upłynął kwadrans. Kora zjawiła się nieco pobladła, stawiając z trudem kroki. Nikt nie zapytał jej wprost. Każdy, zdawało się, odgadywał pomyślną, choć trudną do wypowiedzenia nowinę, każdy zdawał się pałać chęcią, aby ją usłyszeć, i każdy bał się jej potwierdzenia. Jedynie Cachelin zapytał:

– Lepiej ci?

– Tak – odpowiedziała – dziękuję. To głupstwo, ale wróćmy wcześniej do domu. Mam lekką migrenę.

I wychodząc, wzięła pod ramię męża, jak gdyby chciała podkreślić coś tajemniczego, czego nie śmiała jeszcze wyznać.

Rozstano się na dworcu Saint-Nazare. Pod pretekstem jakiejś sprawy, którą właśnie sobie przypomniał, Maze odszedł, skłoniwszy się i uściskawszy rękę.

– Co ci się stało podczas śniadania? – zapytał Cachelin, zostawszy sam z córką i zięciem.

Kora z początku nie odpowiedziała. Odrzekła dopiero po dłuższym wahaniu:

– To głupstwo. Trochę nudności.

Szła krokiem osłabłym, lecz z uśmiechem na wargach. Lesable był nieswój i miał zamęt w głowie. Męczyły go pogmatwane i sprzeczne myśli; czuł pożądanie zbytku i głuchy gniew, haniebny wstyd i tchórzliwą zazdrość, zachowywał się tak jak owe śpiochy, co rankiem zamykają oczy, aby nie widzieć jasnego promienia, wślizgującego się pomiędzy frankami i przecinającego ich łóżko lśniącą strzałą.

Gdy powrócili, powiedział, że ma pracę do wykończenia, i zamknął się u siebie.

Wtedy Cachelin, położywszy obydwie ręce na ramionach córki, zapytał:

– Jesteś w dąży? Prawda?

– Tak – wydobyła z siebie. – Myślę, że tak. Od dwóch miesięcy.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy ojciec podskoczył z radości, a potem ją tańczyć dokoła niej kankana z publicznej sali tańca, dawne wspomnienie dni spędzonych w garnizonie. Podnosił nogi i skakał pomimo swego brzucha, aż całe mieszkanie dygotało. Kołysały się sprzęty, trącały szkła w kredensie, wisząca lampa kiwała się i drgała jak latarnia na statku.

Potem wziął w ramiona ukochaną córkę i ucałował ją z uniesieniem. A potem, dając jej poufale lekkiego klapsa w brzuch, rzekł:

– Och, nareszcie! Powiedziałaś o tym mężowi?

– Nie... – szepnęła onieśmielona. – Ja... czekałam...

– Dobrze, dobrze! – zawołał. – To cię krępuje. Poczekaj, ja sam mu to powiem!

I pospieszył do mieszkania swego zięcia. Lesable, który nie robił nic, wstał na jego widok. Teść nie zostawił mu czasu do namysłu.

– Czy wiesz, że twoja żona jest w odmiennym stanie?

Małżonek osłupiał, zmieszał się, a na policzki wystąpiła mu czerwień.

– Co? Jak? Kora? Co ojciec mówi?

– Mówię, że jest w odmiennym stanie. Słyszysz? A to szczęście dla nas!

I w siwej radości pochwyił go za ręce, ścisnął je i potrzasał nimi, jak gdyby chciał mu winzować i dziękować.

– Och, nareszcie się stało! – powtarzał. – Wyśmienicie! Wyśmienicie! Pomyśl tylko majątek jest nasz!

I nie mogąc dłużej wytrzymać, objął go i uściskał.

– Więcej niż milion, pomyśl, więcej niż milion! – wołał. Jął znowu tańczyć, a potem rzekł nagle:

– Ale chodźże! Ona cię oczekuje, chodź ucałować ją przynajmniej!

Chwyił go wpół i popychając przed sobą rzucił jak piłkę do jadalni, gdzie została Kora, stojąc i nasłuchując.

Gdy spostrzegła męża, cofnęła się, a nagle wzruszenie ścisnęło jej gardło. Stał przed nią błądliwy i udręczony. Wyglądał na sędziego, a ona na winowajczynię.

– Podobno jesteś w ciąży? – wyrzekł na koniec.

– Wszystko za tym przemawia – wydobyła z siebie drżącym głosem.

Cachelin pochwyił ich oboje za szyje i zbliżył do siebie twarz w twarz, wołając:

– Ucałujcie się, do pioruna! Okazja warta tego! A wypuściwszy ich z rąk, oznajmił nie posiadając się z szalonej radości:

– Na koniec partia wygrana! Słuchaj, Leopoldzie, kupimy natychmiast posiadłość na wsi. Tam przynajmniej będziesz mógł powrócić do zdrowia.

Lesable zadrżał na tę myśl.

– Zaprosimy tam pana Torchebeuf z małżonką – mówił dalej teść – a ponieważ zastępca naczelnika dobiega końca swych dni, będziesz mógł zostać jego następcą. Krok za krokiem do celu.

W miarę jak Cachelin mówił, obrazy tego wszystkiego przesuwwały się przed oczyma Lesable'a. Widział samego siebie, jak przyjmuje naczelnika przed ładnym, białym domem nad brzegiem rzeki. Miał na sobie drelichową kurtkę i panamę na głowie.

Wobec tej perspektywy jakaś słodycz wstąpiła mu w serce, jakieś ciepło i jakaś rozkosz. To wszystko zdawało się go przenikać, czyniło go lekkim i już zdrowszym.

Uśmiechał się, jeszcze nie odpowiadając.

– Kto wie? – ciągnął dalej upojony nadzieją i porwany marzeniami, Cachelin. – Będziemy mogli uzyskać wpływ na sprawy krajowe. Może zostaniesz posłem? W każdym razie będziemy mogli bywać u dobrych rodzin z okolicy i umilić sobie życie. Będziesz miał konika

i pleciony powozik do codziennej jazdy na dworzec.

Obrazy zbytku, wytworności i dobrobytu rodziły się w umyśle Lesable'a. Myśl, że sam prowadziłby uroczy powozik jak ludzie bogaci, którym częstokroć zazdrościł losu, przechyliła szalę: był zadowolony. Nie mógł się powstrzymać i rzekł:

– O tak, to by rzeczywiście było cudowne.

Widząc, że już jest pozyskany, Kora uśmiechnęła się również z rozrzewnieniem i wdzięcznością, a Cachelin, nie dostrzegając już więcej przeszkód, oświadczył:

– Pójdziemy na obiad do restauracji. Do kroćset! Musimy sobie zafundować małą bibkę.

Byli nieco podchmieleni, gdy powracali wszyscy troje, a Lesabie, któremu dwoiło się w oczach i wszystko w głowie tańczyło, nie zdołał dotrzeć do swego ciemnego gabinetu. Może przez nieuwagę, a może przez zapomnienie położył się w pustym jeszcze łóżku, w którym sypiała jego żona. I całą noc wydawało mu się, że łóżko chwieje się jak łódź, kołysze się, huśta i wywraca. Cierpiał nawet trochę na morską chorobę.

Był bardzo zdziwiony, gdy zbudziwszy się znalazł Korę w swych ramionach.

Otworzyła oczy, uśmiechnęła się i ucałowała go w nagłym porywie wdzięczności i przywiązania.

– Jeżeli – rzekła doń tym miękkim głosem, którego kobiety używają podczas pieszczot – chcesz być milusi, to nie chodź dzisiaj do ministerstwa. Nie masz potrzeby okazywania zbytniej służbistości, skoro wkrótce zostaniemy bardzo bogaci. Pojechalibyśmy sobie znowu na wieś, ale tylko sami, we dwoje.

Był wypoczęty, pełen tego błogiego znużenia, które następuje po hulance. Rozleniwiła go ciepło łóżka. Czuł w sobie ociężałe pragnienie, aby poleżeć dłużej, nie robić nic, a jedynie żyć spokojnie w rozkoszach. Nie znana dotąd i przemożna potrzeba lenistwa obezwładniała mu duszę i ogarniała ciało. Nachodziła go myśl nieokreślona, uporczywa, rozkoszna: „Będzie bogaty, niezależny!”

Ale nagle pochwycił go lęk. Zapytał z cicha, jakby żywił obawę, że ściany mogłyby usłyszeć jego słowa:

– A czy chociaż jesteś zupełnie pewna, żeś zaszła?

– O tak, niewątpliwie! – zapewniła go od razu. – Nie pomyliłam się.

Był jeszcze trochę niespokojny, ale począł ją głaskać. Przesunął rękę po jej wzdętym brzuchu.

– Tak, rzeczywiście – oznajmił. – Ale nie urodzisz na czas. Mogą zakwestionować nasze prawa.

Na to przypuszczenie porwał ją gniew. Co to, to nie! Coś podobnego! Nie będą jej szykanować teraz, po tylu utrapieniach, trudach i wysiłkach. Co to, to nie! – Usiadła, trzęsąc się z oburzenia.

– Pójdziemy zaraz do notariusza – rzekła.

On jednak był zdania, że należy postarać się najpierw o świadectwo lekarskie. Udali się więc ponownie do doktora Lefilleul.

Poznał ich natychmiast i zapytał:

– Powiodło się państwu?

Obydwoje zaczerwienili się aż po same uszy, a onieśmielona nieco Kora wyjąkała:

– Sądzę, że tak, panie doktorze.

Lekarz zatarł ręce.

– Spodziewałem się tego, spodziewałem się tego. Środek, który państwu zaleciłem, nie zawodzi nigdy, wyjąwszy zupełną niezdolność jednego z małżonków.

Zbadawszy zaś młodą kobietę, oświadczył:

– Tak jest, brawo!

I napisał na kartce papieru: „Ja, niżej podpisany, doktor medycyny Uniwersytetu Paryskiego, zaświadczam, że pani Leopoldowa Lesable, z domu Cachelin, wykazuje

wszystkie oznaki ciąży, datującej się od około trzech miesięcy”.

– A pan? Jak tam z płucami i sercem? – zapytał następnie, zwracając się do Lesable’a. Ośluchał go i uznał za całkowicie wyleczonego.

Wyszli szczęśliwi i weseli, ramię, w ramię, lekkim krokiem. Po drodze Leopoldowi przyszło coś na myśl.

– Może lepiej będzie, żebyś przed pójściem do notariusza opasała się jednym lub dwoma ręcznikami. To przyciągnie wzrok i zrobi lepsze wrażenie. Notariusz nie będzie mógł pomyśleć, że chcemy zyskać na czasie.

Zaszli więc do domu i Lesable sam rozebrał żonę, aby dopasować jej fałszywe łono. Dziesięć razy z rzędu zmieniał miejsce ręczników i oddalał się na kilka kroków, aby sprawdzić wrażenie, usiłował bowiem uzyskać absolutne prawdopodobieństwo.

Gdy osiągnął rezultat zadowalający, wyszli ponownie, a na ulicy Lesable zdawał się być dumny, że prowadzi ten potwierdzający jego męskość wzdęty brzuch.

Notariusz przyjął ich życzliwie. Wysłuchał wyjaśnień, przebiegł oczyma świadectwo, a ponieważ Lesable nalegał, mówiąc: „Zresztą, proszę pana, wystarczy popatrzeć na nią przez sekundę”, rzucił ufne spojrzenie na grubą i kanciastą kibić młodej kobiety.

Oczekiwali zatrwożeni.

– Doskonale – oświadczył prawnik. – Czy dziecko urodziło się, czy się ma urodzić, już istnieje i żyje. Zawiesimy przeto wykonanie testamentu aż do położu pani.

Radość ich była tak porywcza, że wyszedłszy z biura notariatu ucałowali się na schodach.

7

Od chwili tego radosnego odkrycia trójka rodzinna żyła w doskonałej zgodzie. Byli w usposobieniu równym, wesołym i spokojnym. Cachelin powrócił najzupełniej do swej dawnej jowialności, a Kora otoczyła męża troskliwością. Również Lesable robił wrażenie innego człowieka. Był stale zadowolony i dobroduszny jak nigdy przedtem.

Maze przychodził rzadziej i zdawał się czuć teraz nieswój w rodzinnym gronie. Nadal przyjmowano go dobrze, jednakże z większą już oziębłością, ponieważ szczęście jest egoistyczne i obywa się bez obcych.

Nawet Cachelin zdawał się żywić pewną cichą wrogość w stosunku do przystojnego urzędnika, którego parę miesięcy temu tak skwapliwie wprowadził do domu. To on zawiadomił tego przyjaciela o ciąży Koralii.

– Wie pan? – rzekł doń szorstko. – Moja córka jest w odmiennym stanie!

– Ho, ho! – odparł Maze udając zaskoczenie. – Musi pan być uszczęśliwiony?

– Z pewnością! – odpowiedział Cachelin spostrzegając, że jego kolega, wręcz odwrotnie, nie okazuje zachwyty. Mężczyźni, czy stało się to z ich winy, czy nie, nie lubią widzieć w tym stanie kobiety, której są wielbicielami.

Pomimo to w każdą niedzielę Maze nadal przychodził na obiad. Jednakże spędzane razem wieczory stawały się coraz przykrzejsze, chociaż nie wyłonił się żaden poważniejszy rozdzwiek. Dziwne skrepowanie wzrastało z tygodnia na tydzień. Pewnego nawet wieczoru, zaraz po wyjściu Maze’a, Cachelin oświadczył ze złością: – Ten człowiek zaczyna mnie irytować.

– Faktem jest – odpowiedział Lesable — że nie zyskuje przy bliższym poznaniu.

Kora spuściła oczy. Nie wypowiedziała swego zdania. W obecności rosnącego Maze’a robiła zawsze wrażenie zażenowanej, a Maze ze swej strony zdawał się być również przy niej niemal zawstydzony, nie spoglądał na nią – jak niegdyś – z uśmiechem, nie zapraszał już do teatru i ta niedawno jeszcze tak serdeczna zażyłość zdawała mu się ciążyć jak przykra konieczność.

Aż pewnego czwartku w porze obiadowej, gdy mąż powrócił z biura, Kora ucałowawszy

jego faworyty z większą niż zwykle przymilnością, szepnęła mu do ucha:

– Nie będziesz się na mnie gniewał?

– Dlaczegoż by?

– Bo... pan Maze był dopiero co z wizytą, a ja, ponieważ nie chcę, aby mnie obgadywano, poprosiłam go, aby nie przychodził nigdy wtedy, gdy ciebie nie ma w domu. Zdaje się, że był nieco urażony.

– No i co powiedział? – zapytał zdziwiony Lesable.

– Och, nic takiego! Ale mu się to jednak nie podobało, więc poprosiłam go, aby zupełnie przestał u nas bywać. Wiesz dobrze, że to ojciec i ty sprowadziliście go tutaj. Ja do tego nie przyłożyłam ręki. Dlatego bałam się, że będziesz niezadowolony, gdy mu wymówię dom.

Radosna wdzięczność wstąpiła w serce męża.

– Dobrze zrobiłaś, bardzo dobrze. A nawet dziękuję ci za to.

– W biurze – podjęła, aby uregulować wzajemne stosunki obu mężczyzn, które z góry ukartowała – będziesz udawał, że nie wiesz o niczym, i będziesz z nim rozmawiał jak dawniej, tylko że on tu już więcej nie przyjdzie.

Wziąwszy z tkliwością żonę w ramiona, Lesable całował ją długo po oczach i po policzkach.

– Jesteś aniołem!... – powtarzał. – Jesteś aniołem!

Brzuchem wyczuwał wypukłość rozrosłego już dziecka.

8

Aż do końca ciąży nie zdarzyło się nic nowego.

W ostatnich dniach września Kora powiła córkę. Nadano jej imię Bozydary, ale ponieważ chrzciny chciano obchodzić uroczyście, więc postanowiono urządzić je następnego lata we własnej posiadłości, którą zamierzano kupić.

Wyszukano ją w Asnières, na wzgórzu, które wznosi się nad Sekwaną.

Wielkie wydarzenia dokonały się w ciągu zimy. Zaledwie zrealizowano spadek, Cachelin złożył prośbę o przeniesienie na emeryturę, którą przyznano mu natychmiast, wobec czego opuścił biuro. Zapewniał sobie wolne chwile odcinaniem za pomocą precyzyjnej piły mechanicznej pokryw od pudełek po cygarach. Robił z tego zegary, szkatułki, żardinierki, najrozmaitsze odmiany dziwacznych mebelków. Zapalił się do tej roboty, do której upodobanie pojawiło się u niego w chwili, gdy na Avenue de l'Opera zobaczył wędrownego przekupnia, obrabiającego w ten sposób takie drewniane płytki. Wszyscy musieli co dzień podziwiać nowe wzory, kunsztownie i dziecinnie skomplikowane. A on sam, zachwycony swoim dziełem, powtarzał bez przerwy: „To zdumiewające, co człowiek potrafi zrobić!”

Ponieważ zastępca naczelnika, pan Ribot, nareszcie zmarł, Lesable objął czynności związane z jego stanowiskiem, chociaż nie otrzymał tytułu, albowiem od czasu jego ostatniej nominacji nie upłynął jeszcze okres niezbędny do uzyskania nowego stopnia.

Kora stała się od razu inną kobietą, powściągliwszą i wytworniejszą, zrozumiała, odgadła, wyczuła wężem przeobrażenia, które narzuca majątek.

Z okazji Nowego Roku złożyła wizytę małżonce naczelnika, osobie otyłej, która pozostała prowincjałką pomimo trzydziestu pięciu lat pobytu w Paryżu. Włożyła tyle ujmującego czaru w prośbę o trzymanie jej dziecka do chrztu, że pani Torchebeuf wyraziła zgodę. Cachelin został chrzestnym ojcem wnuczki.

Ceremonia odbyła się w piękną niedzielę czerwcową. W gościnę zaproszono całe biuro oprócz pięknego Maze'a, którego już nie przyjmowano.

O godzinie dziewiątej Lesable oczekiwał przed dworcem na pociąg paryski, podczas gdy grom w liberii z pozłaczanymi guzami trzymał przy uździe lejce tłustego kuca, zaprzęgniętego do nowiutkiego powoziku.

Lokomotywa zagwizdała z daleka, po czym nadjechała, ciągnąc za sobą rząd wagonów, z których wypłynął strumień podróżnych.

Pan Torchebeuf z żoną w świetnej toalecie wysiadł z wagonu pierwszej klasy, podczas gdy z wagonu klasy drugiej wysiedli Pitolet i Boissel. Nie śmiano zaprosić ojca Savon, ale porozumiano się z nim, że go się spotka niby to przypadkiem po południu i zabierze za zgodą naczelnika na obiad.

Lesable podskoczył naprzeciw zbliżającego się zwierzchnika, małego w swym surducie, uświetnionym wielkim orderem, niby czerwoną różą w rozkwicie. Ogromna czaszka pod kapeluszem o szerokich skrzydłach przygniatała jego wątłe ciało, nadając mu wygląd jakiegoś dziwotworu. Wspiąwszy się odrobinę na palcach, jego żona mogła patrzeć bez trudu ponad głową męża.

Promieniejący Leopold kłaniał się i dziękował.

Usadowił ich w powozie, po czym pobiegłszy do obydwu kolegów, którzy trzymali się skromnie z tyłu, uściśnął im ręce, przepraszając za to, że nie może ich również zabrać do zbyt małego pojazdu.

I wsiadłszy do powozu pochwycił lejce i odjechał, podczas gdy groom skoczył zręcznie na małe siedzenie z tyłu.

– Idźcie nadbrzeżem – powiedział – a traficie do mego domu. Willa „Bożydara”, czwarta za zakrętem. Spieszcie się!

Ceremonia odbyła się z pełną świetnością, po czym wrócono na śniadanie. Każdy znalazł pod swą serwetką podarek, proporcjonalny do znaczenia danego gościa. Chrzestna matka otrzymała bransoletkę z masywnego złota, jej mąż ozdobioną rubinem szpilkę do krawata, Boissel portfel z juchtu, Pitolet wspaniałą fajkę z pianki morskiej. Mówiono, że to Bożydara ofiarowała te prezenty swym nowym przyjaciołom.

Poczerwieniała ze zmieszania i radości pani Torchebeuf założyła błyszczące koło na swą rękę, naczelnik zaś, ponieważ miał wąski, czarny krawat, do którego szpilka nie pasowała, wpiął klejnot w klapę surduta poniżej legii honorowej, niby inny krzyż niższego rzędu.

Przez okno widać było wielką wstęgę rzeki podnoszącej się ku Suresnes wzdłuż stromych brzegów wysadzanych drzewami. Potoki słońca padały na wodę, czyniąc z niej rzekę ognistą. Z powodu obecności państwa Torchebeuf obiad przebiegał początkowo w nastroju poważnym. Później się rozweselono. Cachelin opowiadał grube żarty, uważając, że człowiek tak bogaty jak on może sobie na nie pozwolić. Przyjmowano je powszechnym śmiechem.

Gdyby wypowiadał je Pitolet lub Boissel, na pewno by raziły.

Przy deserze wypadło pokazać dziecko. Każdy z gości je ucałował. Tonące w pianie koronek patrzyło na ludzi swymi niebieskimi oczyma, mętnymi i bezmyślnymi. Obracało nieco swą pucułowaną twarzyczką, w której zdawały się rodzić zaczątki uwagi.

– Wygląda na małe Maziątko – szepnął do ucha swemu sąsiadowi, Boisselowi, Pitolet wśród ogólnej wrzawy.

Zdanie to obiegu nazajutrz całe ministerstwo.

Tymczasem wybiła druga. Wypito likiery i Cachelin zaproponował zwiedzenie posiadłości, a później spacer nad brzegiem Sekwany.

Goście w uroczystym pochodzie krążyli z pokoju do pokoju, obejrzeni wszystko od piwnic do strychu, a potem obeszlą ogród od drzewa do drzewa, od rośliny do rośliny. Wreszcie podzielono się na dwie grupy i udano się na spacer.

Cachelin, nieco skrępowany w obecności dam, pociągnął za sobą Boissela i Pitoleta do kawiarni nadbrzeżnych, podczas gdy panie Torchebeuf i Lesable ze swymi mężami miały przeprowadzić się na drugi brzeg, ponieważ przyzwoite kobiety nie mogą mieszać się z porozbieranym tłumem niedzielnym.

Szły z wolna drogą holowniczą, poprzedzając obydwu mężczyzn rozmawiających z powagą o sprawach biurowych.

Rzeką płynęły łódki, wprawiane w ruch szerokimi zamachami wiosł przez chwatów, którym przeżyły się mięśnie pod opaloną skórą. Wiosłarki, rozciągnięte ma białych lub czarnych futrach, panowały nad sterem, leniwe od słońca. Trzymały nad głowami otwarte parasolki z czerwonego, żółtego lub niebieskiego jedwabiu niby ogromne kwiaty unoszące się nad wodą. Krzyki, nawoływania i połajanki przenosiły się z barki na barkę, a daleki, nieustanny gwar zmieszanych głosów dawał znać o rojącym się tłumie świątecznym.

Stojący wzdłuż rzeki wędkarze trwali bez ruchu, podczas gdy prawie nadzy pływacy stawali na ciężkich łodziach rybackich i skakali do wody głową w dół, wdrapywali się z powrotem na łodzie i znowu zeskakiwali w prąd:

Pani Torchebeuf rzucała wokół zdumione spojrzenia.

– Tak jest w każdą niedzielę – rzekła do niej Kora. – Rozpieszcza mnie ta urocza okolica.

Z wolna nadpływała łódź. Dwie wiosłujące kobiety wiozły dwóch zuchów leżących na dnie. Jedna z nich zawołała w stronę brzegu:

– Hop, hop, paniusie! Mam mężczyznę do sprzedania! Niedrogo, chcecie?

Odwrociwszy się ze wzgardą Kora wzięła pod ramię swego gościa.

– Nie można tu jednak przebywać – powiedziała. – Pójdźmy stąd. Jakież te kreatury są bezecne.

Zawróciły. Pan Torchebeuf mówił do Lesable'a:

– To będzie załatwione na pierwszego stycznia. Dyrektor dał mi formalną zgodę.

– Nie wiem, jak panu mam dziękować, drogi szefie – odparł Lesable.

Powróciwszy zastali Cachelina, Pitoleta i Boissela zaśmiewających się do łez i prawie niosących ojca Savon, którego – jak utrzymywali w żartach – spotkali na brzegu z kokotką:

– To nieprawda – powtarzał stary z przestachem – to nieprawda. To nieładnie mówić takie rzeczy, panie Cachelin, to nieładnie.

– Ach, ty stary kawalarzu! – wołał sapiąc Cachelin. – Nazywałeś ją: „Moje kochane gąsiątko”. Mamy go, tego łotrzyka!

Pocziwina miał minę tak przerażoną, że nawet damy zaczęły się śmiać.

– Jeżeli pan Torchebeuf pozwoli – podjął Cachelin – to zatrzymamy go za karę jako więźnia i zje z nami obiad.

Naczelnik łaskawie wyraził zgodę. Śmiano się dalej z damy, opuszczonej przez starego, który bez ustanku protestował, zasmucony tą brzydką krotochwilą.

Aż do wieczora był niewyczerpanym tematem żartów, dających powód nawet do sprośności.

Kora i pani Torchebeuf, usiadłszy pod płóciennym daszkiem na tarasie, przyglądały się odbłaskom zachodu. Słońce rzucało w listowie purpurowy pył. Najmniejszy wiaterek nie poruszał gałęzi. Pogodny i nieobjęty spokój padał z płonącego i cichego nieba.

Przepląnęło jeszcze z wolna kilka łodzi powracających do przystani.

– Zdaje się – zapytała Kora – że ten biedny ojciec Savon ożenił się z szelmą?

– Tak – odrzekła zorientowana we wszystkich sprawach biurowych pani Torchebeuf. —To była nazbyt młoda jeszcze sierota, która zdradzała go z jakimś nicponiem i w końcu z nim uciekła.

Po czym otyła dama dorzuciła:

– Nie utrzymuję, że był to nicpoń, bo nic o tym nie wiem. Podobno bardzo się kochali. W każdym razie ojciec Savon bynajmniej nie jest czarujący.

– To niczego nie usprawiedliwia – podjęła z powagą pani Lesable. – Biedaczysko jest nader godny litości. Nasz bliski sąsiad, pan Barbou, znajduje się w podobnym położeniu. Jego żona zakochała się w jakimś malarzynie, który spędzał tu zwykle lato, i wyjechała z nim za granicę. Nie rozumiem, jak kobieta może aż tak upaść. Moim zdaniem powinna być specjalna kara dla podobnych nędzników, którzy okrywają hańbą rodziny.

Na końcu alei ukazała się mamka, niosąc w koronkach Bożydarę. Zbliżyła się ku dwom

damom z dzieckiem, różowutkim w chmurze z czerwonego złota wieczoru. Patrzyło na rozognione niebo tymi samymi bezbarwnymi, zdumionymi i niepewnymi oczyma, które przesuwały się po twarzach ludzkich.

Rozmawiający mężczyźni zbliżyli się wszyscy razem, a Cachelin pochwycił swą wnuczkę i podniósł ją na całą wysokość ramion, jak gdyby chciał położyć ją na firmamencie. Rysowała się na lśniącym tle horyzontu w swojej długiej, białej sukience, która opadała aż na ziemię.

– Oto, co jest najlepszego na świecie! – zawołał dziadek. – Prawda, ojczyźnie Savon?

Stary nic nie odrzekł, nie mając nic do powiedzenia albo myśląc może o zbyt wielu rzeczach.

Służący otworzył drzwi na taras, obwieszczając:

– Do stołu podano, proszę pani!

Naszyjnik

Była to jedna z tych ślicznych i zniewalających swym urokiem dziewcząt, które jakby przez pomyłkę losu przychodzą na świat w rodzinach urzędniczych. Nie miała ani posagu, ani żadnych widoków na przyszłość, ani zacnej możliwości spotkania człowieka bogatego i wytwornego, który by ją poznał, zrozumiał, pokochał i zaślubił.

Zgodziła się tedy wyjść za drobnego urzędnika z Ministerstwa Oświecenia Publicznego.

Żyła w prostocie jedynie dlatego, że nie mogła błyszczeć, ale czuła się nieszczęśliwa, jakby ją zdeklasowano. Kobiety bowiem nie należą do żadnej rasy i do żadnej warstwy społecznej, a urodzenie i rodzinę zastępują im piękność i wdzięk. Hierarchię wśród nich stwarza jedynie wrodzona subtelność, wykwint instynktów i bystrość umysłu, dzięki którym dziewczęta z ludu stają się równe wielkim damom.

Cierpiała ustawicznie w poczuciu, że jest stworzona do wszelkiego rodzaju zbytku i wytworności. Cierpiała nad ubóstwem swego mieszkania, nad nędzą ścian, nad zniszczonymi krzesłami i brzydota tkanin. To wszystko, czego inna kobieta jej stanu nawet by nie zauważyła, budziło w niej udękę i odrazę. Widok prostej Bretonki, która zajmowała się jej skromnym gospodarstwem, wywoływał w niej rozpaczliwy żal i szalone marzenia. Roily się jej zaciszne przedpokoje, wysłane wschodnimi obiciami i oświetlone wysokimi świecznikami z brązu, dwaj roili lokaje w krótkich spodniach, którzy drzemią w obszernych fotelach, odurzeni przytłaczającym ciepłem kaloryferów. Roily się jej wielkie, obite starym jedwabiem salony, wykwintne meble, na których stoją bezcenne cacka, małe i zalotne saloniki nasycone perfumą, a stworzone do gawędy o piątej godzinie po południu z najbliższymi przyjaciółmi, ludźmi tak znanymi i poszukiwanymi, że ich względy są przedmiotem pragnień i zazdrości wszystkich kobiet.

Gdy przy okrągłym stole, nakrytym nie zmienianą od trzech dni serwetą, siadała naprzeciw swego męża, który odkrywając wazę obwieszczał z zachwytem: – Och, co za rosół! Nie znam nic wyborniejszego na świecie... – marzyła o wykwintnych obiadach, połyskującym srebrze stołowym, gobelinach zapelniających ściany postaciami starożytności i dziwnymi ptakami wśród gajów z bajki. Marzyła o wyszukanych potrawach, podawanych do stołu w cudownych naczyniach, o grzecznych słówkach, szeptanych i słuchanych z uśmiechem sfinksa w czasie spożywania blad różowego pstrąga lub skrzydełek jarząbka.

Nie miała ani strojów, ani klejnotów, a lubowała się tylko w tych rzeczach, tylko do nich czuła się stworzona. Tak bardzo pragnęła się podobać, wzbudzać zazdrość i być rozrywana! Miała bogatą przyjaciółkę, koleżankę z klasztoru, ale już przestała ją nawet odwiedzać, bo nazbyt cierpiała za każdym powrotem do domu. I potrafiła całymi dniami płakać w smutku, żalu, beznadziei i opuszczeniu.

Pewnego wieczoru mąż powrócił z miną tryumfatora. W ręku trzymał dużą kopertę.

– Spójrz! – powiedział. – Mam tu coś dla ciebie.

Żywo rozerwała kopertę i wyciągnęła z jej wnętrza kartę, na której były wydrukowane następujące słowa:

„Minister Oświecenia Publicznego Jerzy Ramponneau z małżonką mają zaszczyt prosić państwa Loisel na wieczór taneczny, który odbędzie się w poniedziałek dnia 18 stycznia w

gmachu ministerstwa”.

Nie okazując zachwyty, którego spodziewał się mąż, rzuciła niechętnie zaproszenie na stół i rzekła głosem stłumionym:

– Więc cóż mam z tym począć?

– Ależ moja droga, ja sądziłem, że będziesz zadowolona. Nie bywasz nigdzie, a to jest okazja. I to piękna okazja! Wiele zachodu mnie to kosztowało. Każdy chciał mieć zaproszenie, każdy się o nie dobijał, a mało kto z urzędników je dostał. Zobacysz tam cały świat oficjalny.

Spojrzała nań z rozdrażnieniem i rzekła niecierpliwie;

– No, a cóż chcesz, żebym włożyła na grzbiet, gdy tam pójde?

Nie pomyślał o tym, przeto powiedział nieśmiało:

– No, a ta suknia, w której chodzisz do teatru? Wydaje mi się bardzo ładna...

Zamilkł zdumiony i przerażony, widząc, że jego żona płacze. Dwie grube łzy płynęły powoli z kącików jej oczu ku kącikom ust. Zapytał niepewnie:

– Cóż ci to? Cóż ci to?

Gwałtownym wysiłkiem opanowała ból i wycierając zwilgotniałe policzki, odrzekła spokojnym głosem:

– Nic ponadto, że nie mam sukni i dlatego nie mogę pójść na zabawę. Oddaj zaproszenie temu z kolegów, którego żona będzie miała więcej szmatek niż ja.

Zmartwił się.

– Zobaczymy, Matyldo – odparł. – Ileż by kosztowała taka suknia, która mogłaby ci służyć poza tym w innych okolicznościach, coś zupełnie prostego?

Zastanawiała się przez kilka sekund, nie tylko rachując, ale i licząc się z sumą, o którą mogłaby poprosić bez narażenia się na bezpośrednią odmowę i okrzyk zgrozy ze strony oszczędnego skryby.

Wreszcie odrzekła z wahaniem:

– Nie wiem dokładnie, ale zdaje mi się, że z czterystoma frankami dałabym sobie radę.

Pobladł nieco, ponieważ odłożył dokładnie tę właśnie sumę, aby kupić sobie strzelbę i zapolować na równinach na Nanterre, gdzie kilku z jego przyjaciół strzelało co niedzielę do skowronków.

Mimo to powiedział:

– Dobrze, dam ci czterysta franków, ale postaraj się mieć za to piękną suknię.

Zbliżał się dzień zabawy, ale pani Loisel robiła wrażenie osoby smutnej, niespokojnej i pełnej obaw. Jednakże suknia była gotowa. Któregoś wieczoru pan Loisel zapytał:

– Co się z tobą dzieje? Jesteś dziwna od trzech dni.

– Martwię się – odpowiedziała – bo nie mam żadnej biżuterii, ani jednego kamyka, nic, czym by się można przystroić. Będę wyglądała jak ostatnia nędzarka. Wolałabym już raczej nie iść na tę zabawę.

– Przypniesz żywe kwiaty – odparł. – To bardzo szykowne o tej porze roku. Za dziesięć franków będziesz miała dwie albo i trzy wspaniałe róże.

Nie trafiło jej to bynajmniej do przekonania.

– Nie... Nic bardziej nie upokarza, niż wyglądać ubogo między bogaczami.

Tu pan Loisel wykrzyknął:

– Jakaś ty niemądra! Zajdź do swej przyjaciółki, pani Forestier, i poproś ją, aby ci pożyczyła jakiś klejnocik. Jesteś z nią w stosunkach dostatecznie bliskich, więc możesz ją o to poprosić.

Pani Loisel wydała radosny okrzyk.

– Oczywiście! A ja wcale o tym nie pomyślałam.

Udała się tedy nazajutrz do przyjaciółki i opowiedziała jej swe troski.

Pani Forestier podeszła do lustrzanej szafy, wyjęła obszerną szkatułkę, a powróciwszy

otworzyła ją ze słowami:

– Wybieraj, moja droga.

Oczom pani Loisel ukazały się najpierw bransoletki, potem kolia z pereł, a jeszcze potem cudownej roboty krzyż wenecki ze złota i drogich kamieni. Przymierzyła te klejnoty przed lustrem, wahała się i nie umiała się z nimi rozstać, aby je zwrócić. Wciąż pytała:

– Masz jeszcze co?

– Oczywiście. Poszperaj. Nie wiem, co by ci się mogło najbardziej podobać.

Nagle pani Loisel odkryła w pudełku z czarnego atłasu wspaniały naszyjnik diamentowy. Serce poczęło jej walić z nadmiaru pożądania. Zadrżały jej ręce, gdy ujęła nimi naszyjnik. Zapięła go na szyi, na sukni bez dekoltu, i trwała w zachwycie nad samą sobą.

Aż wreszcie zapytała z wahaniem i niepokojem:

– Czy mogłabyś mi to pożyczyć? Tylko to?

– Ależ z największą chęcią.

Pani Loisel rzuciła się przyjaciółce na szyję, ucałowała ją z uniesieniem i znikła ze swym skarbem.

Nadszedł dzień balu. Pani Loisel miała szalone powodzenie. Była piękniejsza od innych kobiet, była elegancka, pełna wdzięku, uśmiechnięta i nie posiadała się z radości. Wszyscy mężczyźni wodzili za nią oczyma, pytali o jej nazwisko, szukali sposobności, aby się jej przedstawić. Nie było urzędnika ministerialnego, który by nie pragnął zatańczyć z nią walca. Sam minister zwrócił na nią uwagę.

Tańczyła w upojeniu, porwana i odurzona rozkoszą, nie myśląc już o niczym w tryumfie swej piękności, w chwale powodzenia, w jakimś obłoku szczęścia, na który składały się holdy, wyrazy podziwu i wzbudzone pragnienia, słowem zwycięstwo tak zupełne i tak słodkie dla serc kobiecych.

Wyszła z balu około czwartej nad ranem. Mąż w towarzystwie trzech innych panów, których żony bawiły się również świetnie, drzemał już od północy w małym i odludnym saloniku.

Zarzucił jej na ramiona przyniesione z szatni okrycie, skromne okrycie dnia codziennego, bluźniące swym ubóstwem elegancji balowej toalety. Spostrzegła to i chciała umknąć, aby nie zobaczyły jej inne kobiety, które otulały się w bogate futra.

Loisel ją powstrzymał.

– Poczekajże. Zaziebisz się na dworze. Zaraz sprowadzę dorożkę.

Nie usłuchała go jednak i zeszła szybko ze schodów. Na ulicy nie mogli znaleźć dorożki. Wszczęli poszukiwania, nawołując przejeżdżających w oddali woźniców.

Zrozpaczeni i skostniali zeszli ku Sekwanie. I wreszcie na bulwarze znaleźli jeden z tych starych, lunatycznych powozów, które można widzieć w Paryżu dopiero z nadejściem nocy, jakby za dnia wstydziły się swej nędzy.

Dowiezieni aż pod bramę na ulicy des Martyrs, weszli smutni do domu. Dla niej był to koniec wszystkiego, a on myślał o tym, że trzeba być w ministerstwie na dziesiątą rano.

Ażeby jeszcze raz ujrzeć się w pełnym blasku, zdejmowała przed lustrem okrycie, którym otuliła się po balu. I nagle krzyknęła: kolia znikła z jej szyi!

Mąż, już na pół rozebrany, zapytał:

– Cóż ci się tam stało?

Zwróciła się do niego, oszalała z niepokoju.

– Ja... ja... nie mam naszyjnika pani Forestier.

Poderwał się z przerażeniem.

– Co?... Jak to?... To niemożliwe!

Poczęli szukać w fałdach sukni, w fałdach płaszcza, w kieszeniach, wszędzie. Nie znaleźli nic.

– Czy jesteś pewna – zapytał – że miałaś go jeszcze wtedy, gdyśmy wychodzili z balu?

- Tak, czułam go pod palcami w przedsionku ministerstwa.
- Gdybyś go zgubiła na ulicy, byłibyśmy usłyszeli, jak pada. Powinien być w dorożce.
- Tak, to możliwe. Zapamiętałaś numer?
- Nie. A ty nie zwróciłaś na to uwagi?
- Nie.

Rozpamiętywali wszystko w przygnębieniu. Wreszcie Loisel ubrał się na powrót.

- Pójdę – rzekł – tą samą drogą, którą odbyliśmy pieszo. Może znajdzie.

Wyszedł. Powalona na krzesło, zgaszona i bezradna, pani Loisel pozostawała nadal w sukni wieczorowej, nie mając nawet siły, aby się położyć.

Mąż wrócił około siódmej rano. Nie znalazł nic.

Udał się do prefektury policji i do redakcji dzienników, ogłaszając nagrodę dla znalazcy, był w drugorzędnych remizach dorożek, chodził na koniec wszędzie, gdzie dostrzegł chociażby cień nadziei.

Pani Loisel oczekiwała nań przez cały dzień, w tym samym co on zamięcie ducha wobec tak sromotnej klęski.

Loisel powrócił wieczorem z twarzą zapadniętą i pobladłą. Niczego się nie dowiedział.

– Musisz – powiedział – napisać do swej przyjaciółki, że złamałaś zamek u jej naszyjnika i że trzeba go było oddać do naprawy. To nam da czas do znalezienia jakiegoś wyjścia.

Napisała pod jego dyktando.

Po upływie tygodnia stracili wszelką nadzieję.

Postarzały o pięć lat Loisel zdecydował:

– Trzeba pomyśleć o innym naszyjniku. Nazajutrz wzięli pudełko po klejnocie i udali się do jubilera, którego nazwisko znaleźli w środku. Ten, zajrzawszy do swych ksiąg, oświadczył:

– Takiego naszyjnika nie sprzedałem. Kupiono zapewne u mnie tylko puzderko.

Chodzili więc od jubilera do jubilera, szukając kosztowności podobnych i porównując je w pamięci ze zgubionym naszyjnikiem, chorzy obydwójce ze zmartwienia i niepokoju.

W sklepiku przy Palais Royal znaleźli sznur diamentów, który wydawał im się zupełnie podobny do przedmiotu ich poszukiwań. Kosztował czterdzieści tysięcy franków. Opuuszczono by im do trzydziestu sześciu.

Poprosili jubilera, żeby zaczekał trzy dni ze sprzedażą tego naszyjnika. Zawarowali sobie ponadto, że kosztowność zostanie na powrót przyjęta za trzydzieści cztery tysiące franków, o ile zgubiony naszyjnik odnajdzie się przed końcem lutego.

Loisel posiadał osiemnaście tysięcy franków po swoim ojcu. Resztę miał dopożyczyć.

Pożyczał, prosząc jedną osobę o tysiąc franków, inną o pięćset, tu o pięć ludwików, a ówdzie o trzy. Wystawiał weksle, miał do czynienia z lichwiarzami i z wszelkiego rodzaju typami ludzi trudniących się pożyczaniem pieniędzy. Narażał w rezultacie całą swą egzystencję, ryzykował swój podpis, nie mając nawet pojęcia, czy będzie mógł pokryć przyjęte zobowiązania. Doznając przerażającego niepokoju o przyszłość, strachu przed ponurą nędzą, która nań waliła, przed perspektywą wszelkiego rodzaju niedostatków fizycznych i udręk moralnych, poszedł po nowy naszyjnik i wyłożył kupcowi na ladę trzydzieści sześć tysięcy franków.

Gdy pani Loisel odniosła naszyjnik, pani Forestier rzekła z urazą:

- Powinnaś mi go była wcześniej zwrócić. Mogłam go potrzebować.

Nie otworzyła puzderka, czego najbardziej obawiała się jej przyjaciółka. Cóż by sobie pomyślała, gdyby zauważyła, że klejnot jest zastąpiony innym? Co by powiedziała? Czyby jej nie wzięła za złodziejkę?

Pani Loisel poznała okropności życia w niedostatku. Od razu zresztą przyjęła swój los z bohaterstwem. Należało spłacić ów straszliwy dług, więc go spłaci. Odprawiono służącą, zmieniono mieszkanie, wynajęto pokój na poddaszu.

Poznała grube roboty gospodarskie i obrzydliwe zajęcia kuchenne. Zmywała naczynia, niszcząc różowe paznokietki przy szorowaniu tłustych garnków i rondli. Prała brudną bieliznę, koszule i ścierki, susząc to wszystko na sznurach. Co rano zносиła na ulicę śmieci, a na górę wносиła wodę, zatrzymując się dla złapania tchu na każdym piętrze. Ubrana jak kobieta z ludu, chodziła sama z koszykiem w ręce do zieleniarki, sklepów kolonialnych i jatek, klócając się i targując, broniąc każdego grosza ze swych żałosnych pieniędzy. Co miesiąc trzeba było płacić weksel, inne zaś prolongować, aby zyskać na czasie. Mąż pracował wieczorami nad uporządkowaniem rachunków pewnego kupca, a na noc nieraz brał przepisywanie po pięć sous od strony.

I takie życie trwało dziesięć lat.

Po dziesięciu latach zwrócili wszystko, wypłacili wszystko razem z lichwiarskimi odsetkami i procentami składanymi.

Pani Loisel robiła już teraz wrażenie osoby starej. Stała się taka mocna, twarda i opryskliwa, jak zwykle bywają kobiety w ubogich małżeństwach. Żle uczesana, w krzywo zapiętej spódnicy, z czerwonymi rękami, mówiła podniesionym głosem i szorowała gruntownie podłogi. Ale czasem, gdy mąż był w biurze, zasiadała przy oknie i marzyła o tym dawnym wieczorze, o tym balu, na którym była tak piękna i tyle odebrała hołdów.

Co by się było stało, gdyby nie zgubiła naszyjnika? Kto wie? Kto wie? Jakież to życie jest dziwne i zmienne! I jak niewiele potrzeba, aby nas zgubić lub ocalić!

Pewnej niedzieli, gdy dla wytchnienia po całotygodniowej pracy wyszła przejść się po Polach Elizejskich, spostrzegła spacerującą z dzieckiem kobietę. Była to pani Forestier, wciąż młoda, wciąż piękna, wciąż ponętna.

Pani Loisel poczuła wzruszenie. Czy ma do niej przemówić? Oczywiście. Teraz, gdy spłaciła już dług opowie jej wszystko. Bo i dlaczegóżby nie?

– Dzień dobry, Joanno – rzekła podchodząc. Tamta zupełnie jej nie poznała. Zdziwiona, że jakaś mieszcza odzywa się do niej w sposób tak poufały, wyjąkała:

– Ależ... proszę pani!... Ja nie wiem... Pani się chyba myli.

– Nie. Jestem Matylda Loisel.

Przyjaciółce wyrwał się okrzyk.

– ... O, moja biedna Matyldo, jakeś ty się zmieniła!...

– Zmieniłam się. Przeżyłam bardzo ciężkie dni od czasu, gdyśmy się widziały po raz ostatni, dni prawdziwej nędzy... A wszystko przez ciebie!...

– Przeze mnie? W jaki sposób?

– Przypominasz sobie na pewno ten naszyjnik diamentowy, który mi pożyczyłaś, gdy szłam na bal do ministerstwa?

– No i co?

– Ja go zgubiłam.

– Zgubiłaś? Przecież mi go odniosłaś.

– Odniosłam ci inny, podobny do tamtego. Spłacaliśmy go przez dziesięć lat. Rozumiesz, że to nie było dla nas łatwe, skoro nie mieliśmy nic... Nareszcie się skończyło. Jestem z tego mocno zadowolona.

Pani Forestier przystanęła.

– Mówisz, że kupiłaś inny naszyjnik diamentowy, aby nim zastąpić mój?

– Tak. Nie zauważyłaś tego, prawda? Były zupełnie podobne.

Uśmiechnęła się pełna radosnej i naiwnej dumy. Głęboko wzruszona pani Forestier pochwyliła jej ręce.

– Moja ty biedna Matyldo! Mój naszyjnik był fałszywy. Nie był wart więcej niż pięćset franków!...

Dom pani Tellier

1

Mogłeś tam pójść każdego wieczoru około godziny jedenastej, po prostu tak jak do kawiarni.

Spotykałeś w tym lokalu sześciu czy ośmiu wciąż tych samych mężczyzn, bynajmniej nie hulaków, lecz ludzi szanowanych, kupców i młodzieńców z miasta. Pito chartreuse, swawoląc nieco z dziewczętami, lub też gawędzono poważnie z Madame, którą otaczał powszechny szacunek.

Wychodzono przed północą. Młodzi ludzie zostawiali niekiedy dłużej.

Dom miał wygląd rodzinny, był zupełnie mały, pomalowany na żółto. Stał na rogu jednej z ulic za kościołem Św. Stefana. Z okien widać było basen portowy, pełen statków do wyładunku, wielkie bagnisko solne, nazywane „Zastawą”, a w tyle wybrzeże Panny Marii ze starą i zupełnie poszarzałą kaplicą.

Madame, która pochodziła z dobrej rodziny chłopskiej zamieszkałej w departamencie Eure, odnosiła się do swego zawodu najzupełniej w ten sposób, jakby została modystką czy bielizniarką. Przesąd, nadający prostytucji piętno haniebne, tak silny i żywiołowy w wielkich miastach, nie istnieje na wsi normandzkiej. Chłop mówi: „To jest dobry zawód” – i puszcza w świat swe dziecko, aby utrzymywało harem dziewcząt publicznych, jakby miało zawiadywać zakładem wychowawczym dla przyzwoitych panienek.

Dom ten był zresztą dziedzictwem po starym wuju, jego dawniejszym właścicielu. Monsieur i Madame, poprzednio oberżyści pod Yvetot, zlikwidowali natychmiast swą gospodę, uznawszy interes w Fécamp za korzystniejszy. Przybyli pewnego pięknego poranku, aby objąć kierownictwo nad przedsiębiorstwem, które pod nieobecność gospodarzy chyliło się ku upadkowi.

Byli porządnymi ludźmi, a personel oraz sąsiedzi polubili ich od razu.

Monsieur umarł w dwa lata później na udar serca. Nowy zawód, utrzymujący go w wygodach i bezruchu, spowodował zbytnią tuszę, w związku z czym jego zdrowie poczęło szwankować.

Od czasu swego wdowieństwa Madame była nadaremnie przedmiotem pragnień wszystkich bywalców zakładu. Uważano ją za bezwzględnie cnotliwą i nawet same pensjonariuszki nie zdołały niczego odkryć w tej mierze.

Była tęga, wysoka i ujmująca. Jej cera, pobladła w mroku nieustannie zamkniętego mieszkania, połyskiwała jak przetłuszczony lakier. Malutka grzywka, kędzierzawa, ze sztucznych loczków, otaczała jej czoło i nadawała twarzy wygląd młodzieńczy, który kłócił się z dojrzałością kształtów. Zachowując niezmienną pogodę swego bystrego oblicza, Madame chętnie wdawała się w żarty, ale czyniła to z pewnym odcieniem powściągliwości, której nie utraciła jeszcze wśród swych nowych zajęć. Słowa grube zawsze ją nieco raziły, gdy więc jakiś źle wychowany młodzieniec nazywał właściwym imieniem zakład pozostający pod jej kierownictwem, okazywała gniew i oburzenie. Jednym słowem miała duszę subtelną i chociaż traktowała swe kobiety po przyjacielsku, to jednak chętnie powtarzała, że były one „nie z tej samej beczki”.

W niektóre dni tygodnia zabierała jakąś część swej gromadki na przejażdżkę wynajętym

powozem. Udawano się nad brzeg niewielkiej rzeki przepływającej przez okolice Valmont, aby poswawolić sobie na murawie. Były to wtedy prawdziwe wycieczki pensjonarek, które wyrwały się z zamknięcia, szalone eskapady upływające na dziecinnych zabawach, istne orgie pustelniczek upojonych świeżym powietrzem. Jedzono wędliny siedząc na trawie, popijano cydr. Powracały z zapadnięciem nocy, czując rozkosznie łagodne i rzewne zmęczenie, a w powozie całowały Madame jak matkę najlepszą, pełną dobroci i łaskawości.

Dom miał dwa wejścia. Na rogu otwierano co wieczór pewien rodzaj podejrzanej kawiarni dla ludzi z gminu i dla marynarzy. Dwie dziewczyny którym powierzono osobliwy handel w tej speluncie, były w sposób znamieny dostosowane do potrzeb tego typu klienteli. Z pomocą kelnera imieniem Fryderyk, małego blondyna bez zarostu, a silnego jak wół, podawały szklanice z winem i kufle z piwem do chwiejących się marmurowych stolików i zarzucając pijącym ramiona na szyję, siadały im na kolanach, nakłaniając ich do dalszej konsumpcji.

Trzy pozostałe damy (było ich tylko pięć) stanowiły rodzaj arystokracji i pozostawały w odwodzie dla towarzystwa z pierwszego piętra, chyba że potrzebowano ich na dole, a na pierwszym piętrze nie było akurat nikogo. Salon Jowiszowy, gdzie zbierali się miejscowi obywatele, był wyklejony niebieską tapetą i przyozdobiony dużym szkicem, który przedstawiał Ledę rozłożoną pod łabędziem. Wchodziło się tam kręconymi schodkami, u których stóp znajdowały się wąskie drzwi o skromnym wyglądzie. Drzwi te wychodziły na ulicę, gdzie przez całą noc pobłyskiwała nad nimi maleńka, okratowana latarnia, taka sama jak te, które jeszcze teraz w niektórych miastach zapala się u stóp Madonny umieszczonej w murze.

Stary i wilgotny budynek czuć było lekko pleśnią. Czasami tchnieniem wody kolońskiej wionęło przez korytarze albo też przez uchylone drzwi na dole wdzierały się i niby wybuchy piorunów rozlegały po całym domu ordynarne krzyki ludzi przyjmowanych na parterze, wywołując na twarze panów z pierwszego piętra grymas zaniepokojenia i niesmaku.

Madame, pozostająca w zażytych stosunkach ze swymi klientami, jakby byli jej przyjaciółmi, nie opuszczała wcale salonu, ale interesowała się przynoszonymi przez bywalców wieściami z miasta. Rozmowa z nią toczyła się poważnie i stanowiła prawdziwą rozrywkę po bezładnej paplaninie trzech pozostałych kobiet. Poza tym wśród łobuzerskich figlów tamtych dam była to jak gdyby chwila wytchnienia dla osobliwych brzuchaczy, którzy wyrwali się co wieczór na przystojną i umiarkowaną hulankę i wypijali lampkę likieru w towarzystwie dziewczyn publicznych.

Trzy damy z pierwszego piętra nosiły imiona: Fernanda, Rafaela i Róża Klaczka.

Ponieważ personel był ograniczony, przeto starano, się uczynić z dziewcząt jak gdyby modele, treściwe skróty danego typu kobiecego, aby każdy z gości mógł przynajmniej w przybliżeniu odnaleźć urzeczywistnienie swego ideału.

Fernanda reprezentowała p i ę k n o ś ć j a s n o w ł o s ą. Była bardzo wysoka, prawie otyła, przytulna, dziecko wsi, z którego twarzy nie chciały zniknąć piegi, a blond włosy, przycięte i bezbarwne, podobne do czesanych konopi, okrywały niedostatecznie jej czaszkę.

Pochodząca z Marsylii Rafaela, ladacznica portu nadmorskiego, odgrywała niezastąpioną rolę p i ę k n e j Ż y d ó w k i. Była chuda i miała wystające kości policzkowe, które pokrywał róż. Jej czarne włosy, wygłansowane szpikiem wołowym, układały się w loczki na skroniach. Jej oczy mogłyby się wydać piękne, gdyby prawe nie było naznaczone bielmem. Zakrzywiony nos opadał ku wydatnym szczękom, gdzie dwa nowe zęby u góry odbijały jasną plamą od dolnych, które z biegiem lat nabrały barwy tak ciemnej jak stare drewno.

Róża Klaczka, ta kulka z mięsa, niby sam brzuch na króciutkich nóżkach, śpiewała od rana do wieczora ochrypłym głosem kuplety na przemian sprośne i sentymentalne, opowiadała błahe a nieskończenie długie historyjki, przestawała mówić tylko wtedy, gdy zaczynała jeść, a jeść tylko wtedy, gdy zaczynała mówić, poruszała się nieustannie, zwinna jak wiewiórka pomimo swej tuszy i maleńkich nóżek. A jej śmiech niby kaskada ostrych krzyków wybuchał

nieustannie to tu, to tam, w pokojach, na strychu, w kawiarni, wszędzie, z byle powodu.

Obydwie kobiety z parteru, a mianowicie Ludwika z przydomkiem Kokoszka i Flora nazywana Huśtawką, ponieważ odrobinę kuląła (pierwsza zawsze jak posąg Wolności przepasana szarfą trójkolorową, druga fantazyjnie hiszpańska, z miedzianymi cekinami, które tańczyły wokół rudych włosów przy każdym z jej nierównych kroków), miały wygląd pomywaczek wystrojonych na karnawał. Podobne do wszystkich kobiet z ludu, ani brzydsze ładniejsze, prawdziwe posługaczki z oberży, były znane w porcie pod przezwiskiem dwóch Sikawek.

Pokój zawistny, ale rzadko maćony, panował między pięcioma kobietami dzięki mądrej, pojednawczej polityce Madame i dzięki jej niewyczerpanemu dobremu humorowi.

Zakład był nader uczęszczany jako jedyny w niewielkim miasteczku. Madame umiała mu nadać należyty szyk. Była tak grzeczna i uprzedzająca dla wszystkich, znano tak dalece dobroć jej serca, że otaczał ją pewien rodzaj poważania. Bywalcy starali się jej przypodobać i być uradowani, gdy wyróżniła kogoś z nich swą przyjaźnią, a gdy się spotkali w ciągu dnia przy swych zajęciach zawodowych, mówili: – Dziś wieczór tam, gdzie pan wie – tak jak się mówi: – Spotkamy się przy obiedzie w kawiarni.

Jednym słowem dom pani Tellier był miejscem odprężenia umysłów i mało kto nie dopisywał na codziennych schadzках.

Otóż pewnego wieczoru pod koniec maja pierwszy przybysz, pan Poulin, kupiec drzewny i były mer, znalazł drzwi zamknięte. Za kratkami nie świeciła się mała latarnia, żaden głos nie dochodził z domu, który wydawał się martwy. Pan Poulin zapukał najpierw po cichu, a potem silniej. Nikt nie odpowiedział. Wobec tego zawrócił i poszedł wolnym krokiem tą samą ulicą, którą przybył. Doszedłszy do Rynku, spotkał pana Duvert, armatora, który zmierzał w to samo miejsce. Udali się tam razem, ale z tym samym rezultatem. Nagle tuż ponad nimi rozległ się wielki hałas, okrążywszy więc dom spostrzegli zbiegowisko marynarzy angielskich i francuskich, walących pięściami w zamknięte okiennice kawiarni.

Obydwaj obywatele wycofali się natychmiast, aby się nie skompromitować. Wszelako zatrzymało ich ciche: – Pst. – Był to pan Tournevau, właściciel solarni ryb, który ich poznał i nawoływał. Powiedzieli mu, jak się rzeczy mają, co go bardziej niż ich poruszyło, gdyż jako człowiek żonaty i pilnie nadzorowany ojciec rodziny przychodził tu tylko w soboty, *securitatis causa*, jak mawiał, czyniąc aluzję do pewnego zalecenia policji sanitarnej, o którego okresowych nawrotach poinformował go doktor Borde, jego przyjaciel. Dziś właśnie wypadał jego wieczór i musiałby w takim razie znów czekać cały tydzień.

Trzej mężczyźni doszli okólnie aż do nadbrzeża, napotkali po drodze młodego pana Philippe, syna bankiera i również bywalca, oraz pana Pimpesse, poborcę skarbowego. Powrócili razem przez ulicę Żydowską, aby dokonać ostatniej próby. Ponieważ jednak rozwścieczeni marynarze oblegali dom, rzucali kamieniami i wyli, trzech klienci pierwszego piętra zawrócili czym prędzej z drogi i poczęli wałęsać się po ulicach.

Spotkali jeszcze pana Dupuis, agenta ubezpieczeń, potem pana Vasse, sędziego przy trybunale handlowym. Rozpoczęli długi spacer, który zaprowadził ich nasamprzód do mola. Usiedli rzędem na granitowym parapecie i spoglądali na kłębiące się fale. Piana na grzywach fal tworzyła w ciemności białą świetlistość, która gasła, zaledwie się ukazała, a jednostajny szum morza, uderzającego o skały, rozchodził się wśród nocy wzdłuż urwisk nadbrzeżnych. Gdy smutni spacerowicze przesiedzieli tak dłuższą chwilę, pan Tournevau oświadczył:

– Niezbyt tu wesoło.

– Niewątpliwie – odparł pan Pimpesse. Ruszyli tedy wolnym krokiem dalej.

Przemierzywszy ulicę, która położona jest u stóp zbocza i nosi nazwę „Pod Laskiem”, wrócili przez drewniany most do „Zastawy”, przeszli koło torów kolejowych i wyłonili się znowu na Rynku, gdzie nagle wybuchł spór między poborcą skarbowym – panem Pimpesse, i solarzem ryb – panem Tournevau, z powodu pewnego grzyba jadalnego, który jeden z nich

znalazł, jak twierdził, w okolicy.

Nuda wprawiła obydwu w rozdrażnienie i doszłoby prawdopodobnie do czynnych zniewag, gdyby pozostali panowie nie zainterweniowali. Pan Pimpesse oddalił się wściekły. Natychmiast nowa sprzeczka powstała pomiędzy byłym merem – panem Poulin, i agentem ubezpieczeń – panem Dupuis, w sprawie uposażenia poborcy skarbowego i dochodów ubocznych, które mógłby sobie stworzyć. Krzywdzące słowa padały z obydwu stron, gdy rozpętała się burza straszliwych wrzasków i na rynku ukazała się gromada marynarzy, zmęczonych daremnym oczekiwaniem przed zamkniętym domem. Trzymali się parami pod rękę, tworząc długą procesję i wrzeszcząc przeraźliwie.

Grupa mieszczan ukryła się w bramie, a wyjąca horda znikła tymczasem na drodze w kierunku opactwa. Długo jeszcze słyhać było ucichający wrzask, jak burzę, która się oddala. I znowu nastąpiła cisza.

Panowie Poulin i Dupuis, wściekli wzajemnie na siebie, odeszli każdy w swą stronę, bez pożegnania.

Czterej pozostali rozpoczęli spacer na nowo i doszli instynktownie do zakładu pani Tellier, który był wciąż zamknięty, niemy i nieprzenikniony. Jakiś pijak spokojnie i z uporem pukał lekko w żaluzje kawiarni, a potem przerywał i zaczynał półgłosem nawoływać kelnera Fryderyka. Stwierdziwszy, że nikt mu nie odpowiada, zdecydował się usiąść na stopniu i oczekiwać na dalsze wydarzenia.

Obywatele mieli już odejść, gdy wrzaskliwa banda ludzi z portu ukazała się ponownie na końcu ulicy. Majtkowie francuscy ryczeli *Marsyliankę*, angielscy natomiast *Rule, Britania*. Odbyło się generalne wierzganie nogami o ściany, po czym fala bydłaków wzięła kurs ku nadbrzeżu, gdzie rozgorzała bójka między marynarzami dwu narodowości. W tej bijatyce jednemu z Anglików złamano rękę i jednemu Francuzowi rozłupano nos.

Pijak, który wciąż trwał pod drzwiami, płakał teraz tak, jak potrafią płakać pijacy i zmartwione dzieci.

Na koniec rozproszyli się i obywatele.

Z wolna cisza powróciła do zaniepokojonego miasta. Jeszcze chwilami z miejsca na miejsce przenosił się okrzyk, który ginał w oddali.

Błakał się jeszcze jeden jedyny człowiek. Był to pan Tournevau, solarz ryb, zrozpaczony, że będzie musiał oczekiwać do najbliższej soboty. Liczył jeszcze na jakiś przypadek, nie pojmując w swym oburzeniu, dlaczego policja pozwoliła tak po prostu zamknąć nadzorowany i strzeżony przez nią zakład użyteczności publicznej.

Powrócił znowu węsząc dokoła i doszukując się powodu. Wreszcie dostrzegł, że na okapie była przyklejona kartka. Czym prędzej zaświecił woskową zapalną i przeczytał następujące słowa, nakreślone pismem wielkim i nierównym: „Zamknięte z powodu pierwszej komunii świętej”.

Wtedy oddalił się, pojmując, że wszystko stracone.

Pijak spał teraz, rozciągnięty na ukos w całej swej długości przed niegościnnymi drzwiami.

A nazajutrz wszyscy bywalcy jeden po drugim znaleźli pretekst, aby przejść tą ulicą. Dla kontensu nieśli pod pachą papiery, a każdy ukradkiem odczytywał tajemnicze obwieszczenie: „Zamknięte z powodu pierwszej komunii świętej”.

2

Sprawa polegała na tym, że Madame miała brata, który prowadził warsztat stolarski w Virville, jej stronach rodzinnych, w departamencie Eure. W czasie gdy była jeszcze oberżystką w Yvetot, Madame trzymała do chrztu córkę tego brata, noszącą imię Konstancja, a nazwisko Rivet, bo i sama Madame była z domu Rivet. Świadom, że jego siostra jest dobrze sytuowana, stolarz nie tracił jej z oczu, chociaż nie spotykali się często, gdyż obydwójce byli

związani swymi zajęciami i zresztą mieszkali od siebie dość daleko. Jednakże gdy dziewczynka kończyła dwanaście lat i miała owego roku przystąpić do pierwszej komunii świętej, stolarz skorzystał z nadarzającej się sposobności zacieśnienia stosunków i napisał do siostry, że liczy na jej udział w tej uroczystości. Starzy rodzice już pomarli, przeto Madame nie mogła się wymówić. Przyjęła zaproszenie. Brat (nosił on imię Józef) żywił nadzieję, że przez okazanie specjalnych względów uda mu się może uzyskać testament na rzecz swej małej, skoro Madame była bezdzietna.

Zawód siostry nie budził w nim żadnych skrupułów, a zresztą nikt w okolicy nic o tym nie wiedział. Gdy rozmawiano o niej, mówiono zaledwie tyle, że pani Tellier jest obywatelką Fécamp, co nasuwało przypuszczenie, że żyła z renty. Z Fécamp do Virville liczone co najmniej dwadzieścia mil, a przebycie dwudziestu mil drogi jest dla chłopa rzeczą trudniejszą niż przebycie oceanu dla człowieka cywilizowanego. Ludzie z Virville docierali najdalej do Rouen, a ludzi z Fécamp nic nie wabiło do małej wsi o pięciuset domach, należącej w dodatku do innego departamentu. Nie wiedziano tedy nic.

Kiedy jednakże zbliżał się termin uroczystości, Madame znalazła się w niemałym kłopotcie. Nie miała zastępczyni, bo nie zachodziła dotąd potrzeba opuszczenia domu chociażby na jeden dzień. Wszystkie rodzaje współzawodnictwa pomiędzy damami z góry a damami z dołu niezawodnie wybuchłyby natychmiast, poza tym zaś Fryderyk podchmieliłby sobie na pewno, a gdy był podchmielony, rzucał się na ludzi o byle głupstwo. Zdecydowała się wreszcie zabrać ze sobą wszystkich oprócz kelnera, któremu udzieliła dwudniowego urlopu.

Zasięgnięto opinii u brata, a gdy ten nie podniósł żadnego sprzeciwu i ofiarował się zakwaterować u siebie na jedną noc całe towarzystwo, w sobotę pociąg pospieszny, odchodzący o godzinie ósmej rano, uniósł w wagonie drugiej klasy Madame wraz z jej towarzyszkami.

Aż do Beuzeville były same i paplały jak sroki. Akurat na tej stacji wsiadła para małżeńska. Mąż, stary chłop ubrany w niebieską bluzę z plisowanym kołnierzem i szerokimi rękawami, ściągniętymi na przegubach i zdobnymi w drobny biały haft, miał głowę nakrytą staroświeckim cylindrem, na którym zrudziła pilśń zdawała się jeżyć. Trzymał w jednym ręku olbrzymi zielony parasol, w drugim zaś głęboki koszyk, z którego ukazywały się przestraszone głowy trzech kaczek. Żona, wysztywniona w wieśniaczym stroju, miała ze swym zaostrzonym jak dziób nosem fizjonomię kury. Usiadła naprzeciw swego męża i trwała bez ruchu, przejęta, że znalazła się w tak świetnym towarzystwie.

Bo rzeczywiście przedział ołsniewał świetnymi barwami. Madame, cała od stóp do głów w niebieskim jedwabiu, zarzuciła na siebie szal z fałszywego kaszmiru francuskiego, oślepiająco i piorunująco czerwony. Fernanda sapała w swej sukni szkockiej, której gors, zapięty przy użyciu sił wszystkich koleżanek, podnosił grożącą upadkiem pierś, a ta zdawała się pływać pod materiałem na kształt dwu nieustannie poruszanych kopuł.

Rafaela, przy pierzastym nakryciu głowy naśladowującym gniazdo pełne ptaków, miała na sobie liliową suknię naszytą złotymi pajątkami, coś wschodniego, co odpowiadało jej fizjonomii Żydówki. Róża Klaczka robiła w swej różowej spódnicy z szerokimi falbanami wrażenie nazbyt pulchnego dziecka lub otyłej karliczki. Wreszcie wydawało się, że dwie Sikawki wykrajały sobie dziwaczne stroje spośród starych firanek z czasów Restauracji, tych firanek w kwieciste desenie.

Skoro tylko przestały być same w przedziale, damy przybrały poważną minę i poczęły mówić o rzeczach podniosłych, aby nabrano o nich dobrego mniemania. Jednakże w Bolbec pojawił się pewien pan z jasnymi faworytami, pierścieniami i złotym łańcuchem. Ułożył na siatce ponad sobą kilka pakunków zawiniętych w ceratę. Robił wrażenie filuta i swojego chłopa. Ukłonił się, uśmiechnął i zapytał swobodnie:

– Panie zmieniają garnizon?

To pytanie wprawiło całą drużynę w zakłopotanie. Na koniec Madame odzyskała kontenans i odrzekła sucho, aby pomścić honor brygady:

– Mógłby też pan być obyczajniejszy!

– Przepraszam – usprawiedliwił się – chciałem zapytać, czy panie zmieniają klasztor.

Nie znalazłszy stosownej odpowiedzi lub też uznawszy może to sprostowanie za wystarczające, Madame skinęła z godnością głową i zacisnęła wargi.

Wobec tego pan z faworytami, który znalazł miejsce pomiędzy Różą Klaczka i starym wieśniakiem, począł mrugać do trzech kaczek, których głowy wystawały z wielkiego koszyka. Następnie, zorientowawszy się, że zjednął już sobie publiczność, począł łaskotać stworzenia pod dziobami wygłaszając do nich dla rozweselenia towarzystwa zabawne przemowy:

– Cóż? Opuściłyśmy nasze ka – kałużki – kwa! kwa! kwa! – aby zapoznać się z rożenkami? – kwa! kwa! kwa! – Nieszczęśliwe stworzenia odwracały szyje przed tymi pieszczotami i czyniły rozpaczliwe wysiłki, aby wydobyć się ze swego wiklinowego więzienia, aż nagle wszystkie trzy razem wydały żalosny okrzyk rozpacz: – Kwa! kwa! kwa! kwa! – Wtedy wśród kobiet wybuchł śmiech. Pochylały się i popychały, aby je dojrzeć. Interesowano się szalenie kaczkami, a pan z faworytami roztaczał wdzięki i dowcip oraz pozwalał sobie na figlarne zaczepki.

Róża wmieszała się do zabawy i pochylając się poprzez kolana sąsiada ucałowała dzioby wszystkich trzech stworzeń. Natychmiast każda z kobiet chciała uczynić to samo. Pan z faworytami sadzał sobie damy na kolanach, podrzucał je i szczypał. Nagle zaczął je tykać.

Chłop i chłopka jeszcze bardziej oszołomieni niż ich ptactwo przewracali oczami jak opętańcy, nie śmiać uczynić jakiegokolwiek poruszenia. Ich stare, pomarszczone twarze pozostawały nieruchome i bez najmniejszego uśmiechu.

Pan z faworytami, który był komiwojażerem, dla kawału zaoferował damom szelki i zdjawszy jeden ze swych pakunków jał go rozpakowywać. Był to podstęp, bo paczka zawierała podwiązki.

Jedne były z jedwabiu niebieskiego, inne z jedwabiu różowego, czerwonego, fioletowego, z jedwabiu bladoliliowego, z jedwabiu pasowego, a wszystkie miały metalowe sprzączki w kształcie dwóch amorków splecionych z sobą i połączonych. Dziewczyny wydawały okrzyki radości i poczęły oglądać podwiązki, już opanowane powagą właściwą każdej kobiecie, gdy dotyka ręką przedmiotów stroju. Pytały się wzajemnie o radę spojrzeniem lub słowem, wypowiedanym szeptem, odpowiadały sobie w ten sam sposób, a nawet Madame zazdrośnie dzierżyła w ręku parę pomarańczową, szerszą i okazalszą niż inne: prawdziwe podwiązki pryncypałki.

Pan z faworytami oczekiwał, żywiąc jakąś myśl:

– No, moje małe kotki – powiedział – należy przymierzyć.

Wybuchła burza okrzyków. Dziewczyny poczęły ścisnąć nogami spódnice, jak gdyby obawiały się gwałtu. Komiwojażer spokojnie oczekiwał na właściwą chwilę.

– Skoro nie chcecie – rzekł wreszcie – to zapakuję. Ofiarowałbym – dodał zręcznie – za darmo jedną parę tej, która przymierzy. – Ale dziewczyny nie chciały i przeżyły kibicie z wielką godnością. Jednakże obydwie Sikawki miały miny tak nieszczęśliwe, że ponowił wobec nich propozycję. W szczególności dręczona pożądaniem Flora Huśtawka zdawała się wahać w sposób widoczny.

– No, trochę odwagi, moja mała – nalegał. – Te liliowe będą pasować do twojej sukienki.

Wówczas Flora zdecydowała się i podnosząc suknię ukazała tęgą nogę w źle obciążonej, ordynarnej pończosze. Komiwojażer pochylił się i zapiął podwiązkę najpierw na kolanie, a potem wyżej. Łaskotaniem pobudzał dziewczynę do krótkich okrzyków i raptownych dreszczy. Gdy skończył, dał jej parę liliowych podwiązek i zapytał:

– Na kogo kolej?

Wykrzyknęły wszystkie razem:

– Na mnie! Na mnie!

Rozpoczął od Róży Kłaczki, która odkryła przedmiot bezkształtny, zupełnie okrągły, pozbawiony kostki: prawdziwą „kiche w kształcie nogi”, jak mówiła Rafaela. Fernandę komiwojażer obsypał komplementami, zapaliwszy się do jej potężnych kolumn. Chude piszczele pięknej Rafaeli miały za to mniej powodzenia. Ludwika Kokoszka nakryła w żartach panu z faworytami głowę swą suknią, aż Madame była zmuszona zainterweniować, aby powstrzymać te niewczesne figle. Na koniec sama Madame podała swą nogę, piękną nogę Normandki, pełną i muskularną. Zaskoczony komiwojażer zdjął w zachwycie z galanterią kapelusz, aby jak prawdziwy rycerz francuski pokłonić się przed tym arcydziełem.

Chłop i chłopka zastygli w osłupieniu, spoglądając na to wszystko z boku jednym okiem. Wyglądali jak kaczki, które wieźli; pan z jasnymi faworytami podniósł się i zapał im w nos: – Ku-ku-ryku! – To rozpętało nowy huragan śmiechu.

Starzy razem ze swym koszykiem, z kaczkami i parasolem wysiedli w Monteville. I można było słyszeć, jak oddalając się żona mówiła do męża:

– To są ladacznice, które jadą do tego przeklętego Paryża.

Sam figlarny komiwojażer wysiadł w Rouen, okazawszy się przedtem tak ordynarnym, że Madame czuła się zmuszona osadzić go ostro na miejscu i dorzucić tonem morału:

– To nas oduczy od rozmów z pierwszym lepszym.

Przesiadły się w Oissel i na następnej stacji zastały pana Józefa Rivet, który oczekiwał ich ze sporym wózkiem pełnym krzesel i zaprzężonym w białego konia.

Stolarz ucałował grzecznie wszystkie damy i pomógł im wsiąść. Trzy z nich usiadły na trzech krzesłach w głębi wózka, Rafaela zaś, Madame i jej brat na trzech krzesłach z przodu. Róża, nie mając krzesła, ulokowała się jako tako na kolanach wielkiej Fernandy – i ruszono w drogę. Ale natychmiast porywczy kłus konika zatrząsł pojazdem tak straszliwie, że krzesła zaczęły tańczyć, podrzucając pasażerki w górę, to na prawo, to na lewo, w podskokach marionetek, wśród strojenia przestraszonych min i wśród okrzyków trwogi, urywających się nagle przy silniejszym wstrząsie. Trzymały się kurczowo boków wózka; kapelusze zsuwały się na plecy, na nos lub ramię, a biały koń biegł bez przerwy, wyciągając szyję i sterczący, wyłysiały, jakby szczurzy ogonek, którym bił się od czasu do czasu po zadzie. Józef Rivet, oparłszy jedną nogę na nasadzie dyszla, a drugą podwinąwszy pod siebie, dzierżył lejce wysoko podnosząc obydwie łokcie. Z jego gardła wydobywał się co chwila rodzaj gdakania, od którego konik strzygł uszami i przyspieszał biegu.

Po obydwu stronach drogi rozciągały się zielone pola. Kwitnący rzepak rozścielał tu i ówdzie wielką, żółtą, falującą powierzchnię, skąd podnosił się zdrowy i krzepki zapach, zapach przenikliwy i słodki, niesiony daleko przez wiatr. W już wyrośniętym życie chabry ukazywały swe małe, lazurowe główki. Kobiety pragnęły je zrywać, ale pan Rivet nie chciał się zatrzymać. Niekiedy znów całe pole zdawało się być zroszone krwią, tyle zalewało je maków. A wśród tych równin, tak ubarwionych kwiatami ziemi, wózek, który sam zdawał się dźwigać bukiet kwiatów o kolorach jeszcze bardziej płomiennych, ukazywał się jadąc w takt kłusa białego konia, znikał za wysokimi drzewami folwarków, aby wyłonić się na nowo spod listowia i na nowo paradować przez żółte i zielone pola, przetykane błękitem lub czerwienią: jasna, mknąca w słońcu dwukółka pełna kobiet.

Biła pierwsza godzina, gdy przybyli przed dom stolarza.

Kobiety upadały ze zmęczenia i omdlewały z głodu, ponieważ nie jadły nic od chwili wyjazdu. Pani Rivet wybiegła na ich spotkanie, pomagała zsiąść każdej z osobna i ścisnęła je, zaledwie dotknęły ziemi, a zwłaszcza całowała bez końca swoją szwagierkę, którą pragnęła sobie zjednać. Jedzono w warsztacie, z którego usunięto już przybory stolarskie, by zrobić miejsce na jutrzejszy obiad.

Smaczny omlet, który nastąpił po smażonej kiszce, zakrapianej wyśmienitym w smaku i

mocnym cydrem, przywrócił wszystkim dobry humor. Rivet wziął szklanę, aby trącać się z gośćmi, podczas gdy jego żona podawała do stołu, gotowała, przynosiła i wносиła potrawy, szepcząc każdej z dam do ucha:

– Czy nałożyła sobie pani dosyć? – Deski oparte o ściany i stopy wiórów pozamiatanych do kątów rozprzestrzeniały woń heblowanego drzewa, zapach stolarni, owo żywiczne tchnienie, które przenika do głębi płuc.

Domagano się małej, ale była w kościele i miała wrócić dopiero wieczorem.

Wobec tego towarzystwo wyszło z domu, aby przejść się po Virville.

Była to mała wioska, przez którą przechodził trakt. W dziesięciu mniej więcej domach, stojących wzdłuż tej jedynej drogi, znaleźli schronienie miejscowi kupcy: rzeźnik, korzennik, stolarz, kawiarnik, szewc i piekarz. Kościół, stojący na końcu tej swego rodzaju ulicy, był otoczony niewielkim cmentarzem, a cztery stare i rozłożyste lipy, rosnące przed głównym wejściem, ocieniały go całkowicie. Był bez żadnego stylu, zbudowany z ciosanego kamienia, a wieńczyła go dzwonnica z łupku. Dalej rozpoczynały się pola, przecięte tu i ówdzie kępami drzew, w których kryły się folwarki.

Aczkolwiek sam w ubraniu roboczym, Rivet ceremonialnie ujął pod rękę swą siostrę i poprowadził ją z całym majestatem. Jego żona, zachwycona przetykaną złotem suknią Rafaeli, zajęła miejsce między nią i Fernandą. Okrągła Róża dreptała w tyle z Ludwiką Kokoszką i Florą Huśtawką, utykającą trochę po całodziennym zmęczeniu.

Mieszkańcy wychodzili przed domy, dzieci przerywały zabawę, podniesiona firanka ukazywała głowę w cycowym czepcu. Jakaś idąca o kulach, na wpół ślepa staruszka przeżegnała się jak na widok procesji, a wszyscy długo ścigali wzrokiem piękne damy z miasta, przybyłe ze stron tak dalekich na komunię świętą córeczki Józefa Rivet. Niezmierny szacunek opromienił blaskiem stolarza.

Przechodząc koło kościoła usłyszano śpiew dziecięcy: wysokie głosiki posyłały ku niebu pieśń nabożną. Madame powstrzymała wszystkich przed wejściem, aby nie zakłócać spokoju cherubinów.

Po odbyciu spaceru przez pola, wyliczeniu głównych posiadłości, omówieniu wydajności ziemi i hodowli bydła Józef Rivet przyprowadził swoją trzódkę na powrót do domu i umieścił damy w ich kwaterach.

Ponieważ ilość miejsca była nader ograniczona, rozmieszczono je po dwie w każdej izbie. Sam Rivet miał tym razem spać w warsztacie na wiórach. Jego żona dzieliła łożę ze szwagierką, a w przyległym pokoju spoczywały razem Fernanda i Rafaela. Ludwika i Flora znalazły pomieszczenie w kuchni na materacu rzuconym na ziemię, a tylko Róża zajmowała sama ciemną stancjkę nad schodami obok wejścia na ciasny pawlacz, gdzie tej nocy spała komunikantka.

Gdy dziewczynka powróciła, spadł na nią istny deszcz pocałunków. Każda z kobiet chciała ją upieścić z ową potrzebą okazywania czułości, z ową wprawą zawodowej przymilności, która skłoniła je w pociągu do całowania kaczek. Każda sadzała ją sobie na kolanach, dotykała jej jasnych, delikatnych włosów, ścisłała ją w ramionach pod wpływem uczuć gwałtownych i żywiołowych. Dziecko, stateczne i przejęte na wskroś pobożnością, było jakby obwarowane rozgrzeszeniem, poddawało się cierpliwe i skupione.

Ponieważ dzień był dla wszystkich pełen utrudzeń, położono się spać wcześniej, tuż po obiedzie. Wioskę spowiła bezgraniczna cisza pól, która jest czymś nieomal świętym, cisza spokojna, przejmująca i sięgająca aż do gwiazd. Dziewczyny, przywykłe do hałaśliwych wieczorów domu publicznego, przejął oniemiały spokój uśpionej wsi. Po ciele przechodził im dreszcz, dreszcz bynajmniej nie z zimna, ale dreszcz samotności, wydobywający się z serca poruszonego niepokojem.

Skoro tylko ułożyły się po dwie na posłaniach, poprzytulały się do siebie, jak gdyby broniąc się przed najściem spokojnego i głębokiego snu ziemi. Tylko Róża Klaczka,

osamotniona w swej ciemnej stancjce i nieprzywykła do zasypiania z pustymi ramionami, doznawała wzruszeń niejasnych i męczących. Właśnie przewracała się na swym pościeliu nie mogąc zasnąć, gdy za drewnianym przepierzeniem tuż przy głowie usłyszała ciche łkanie, przypominające płacz dziecka. Przestraszyła się i zaczęła po cichu nawoływać. Odpowiedział jej słaby głosik. Była to mała komunikantka, którą opanował strach na ciasnym pawlaczu, ponieważ zawsze sypiała w pokoju matki.

Róża podniosła się w zachwyceniu i po cichu, aby kogoś nie zbudzić, ruszyła po dziecko. Przyprowadziła małą do swego ciepłego łóżka, przycisnęła ją wśród pocałunków do piersi, upieściła z objawami przesadnej czułości, a uspokoiwszy się w ten sposób sama – zasnęła. I aż do świtu komunikantka spoczywała z czołem opartym na nagich piersiach prostytutki.

O piątej rano rozkołysana na alarm sygnaturka kościelna zadzwoniła na Anioł Pański i obudziła damy, które zwykle przesypiały cały ranek, jedyny czas wytchnienia po nocnych trudach. Wszyscy chłopcy we wsi byli już na nogach. Przejęte swymi sprawami kobiety chodziły od domu do domu, żywo rozprawiając oraz przenosząc ostrożnie krótkie i nakrochmalone jak tektura sukienki z muślinu lub ogromne świece, przewiązane w połowie kokardą jedwabną ze złocistą frędzlą i z nacięciami na wosku, wskazującymi, gdzie należy trzymać rękę. Słońce promieniało już wysoko na błękitnym niebie, zachowującym ku horyzontowi nieco barwy różanej, niby rozwodniony ślad jutrzeńki. Rodziny kur przechadzały się przed swymi pomieszkami, a gdzieś czarny kogut o lśniącej szyi podnosił uwieńczoną purpurą głowę, bił skrzydłami i rzucał na wiatr swe mosiężne pianie, powtarzane przez inne koguty.

Z sąsiednich wsi poczęto zjeżdżać się bryczkami. Przed domami wysiadały wysokie Normandki w ciemnych sukniach, w chustkach skrzyżowanych na piersi i spiętych odwiecznym klejnotem ze srebra. Mężczyźni przywdziali niebieskie bluzy na nowe surduty albo na zielone sukno starych ubrań, których poły wyglądały spod spodu.

Gdy umieszczono konie w stajniach, utworzył się wzdłuż szerokiego gościńca podwójny szereg wiejskich pojazdów: dwukółek, bryczek, tilbury, szarabanów, słowem pojazdów wszelkiego rodzaju i wieku, przechylonych na przodek lub też opartych tyłem o ziemię, z dyszlami sterczącymi w niebo.

Dom stolarza napęłnił się krzątaniną jak ul. Damy w samych tylko spódniczkach i stanikach, z rozpuszczonymi na plecach włosami, które były tak mizerne i krótkie, że można by je uznać za zniszczone, wytarte przez użycie, zajmowały się ubieraniem dziecka.

Dziewczynka stała nieruchomo na stole, podczas gdy pani Tellier kierowała działaniami swego lotnego batalionu. Myto ją, czesano, fryzowano, odziewano i za pomocą mnóstwa szpilek układano fałdy jej sukienki. Ścieśniano zbytnią szerokość w pasie, organizowano elegancję stroju. A gdy ukończono te wszystkie czynności, polecono delikwentce usiąść i zakazano jej wszelkich poruszeń. Brygada rozgrzanych kobiet pobiegła tymczasem dokonać z kolei swej własnej toalety.

W kościółku poczęto już dzwonić. Wątle dźwięki sygnaturki podnosiły się ku niebu i ginęły w nim niby głos nazbyt słaby, topiący się od razu w niezmiernym błękitnie.

Komunikanci i komunikantki wychodzili z domów i kierowali się ku budynkowi gminnemu, w którym mieściły się obie szkoły i merostwo. Był on położony na jednym krańcu wsi, podczas gdy „Dom Boży” zajmował jej kraniec przeciwny.

Rodzice w strojach odświętnych postępowali za swymi dziećmi z wyrazem skrępowania na twarzy i ową niezręcznością w ruchach, właściwą ludziom wiecznie zgiętym przy pracy. Dziewczynki ginęły w obłoku śnieżnego tiulu, podobnego do bitej śmietany, mali mężczyźni zaś, niby embriony kawiarnianych garsonów, mieli wypomadowane głowy, a idąc rozstawiali szeroko nogi, aby nie pobrudzić czarnych spodni.

Stanowiło to tytuł do chwały dla rodziny, kiedy dziecko otaczała wielka ilość krewnych

przybyłych z daleka, toteż tryumf stolarza był całkowity. Regiment pani Tellier z pryncypalką na czele postępował za Konstancją. Ojciec podał ramię siostrze, matka szła obok Rafaeli, Fernanda z Różą, a obydwie Sikawki w jednej parze. Grupa rozwijała się majestatycznie niby sztab generalny w galowych mundurach.

Wrażenie we wsi było piorunujące.

W szkole dziewczęta ustawiły się wokoło kornetu zakonnicy, chłopcy zaś wokoło kapelusza pana nauczyciela, pięknego i reprezentacyjnego mężczyzny. Ruszono intonując pieśń nabożną.

Chłopcy na czele wydłużyli się w dwa szeregi między dwoma rzędami wyprzężonych pojazdów, dziewczęta szły za nimi w tym samym porządku, a ponieważ wszyscy mieszkańcy przez uszanowanie ustąpili miejsca damom z miasta, znalazły się one bezpośrednio za dziećmi, przedłużając jeszcze bardziej podwójną linię procesji: trzy z lewej, trzy z prawej strony. W swych krzykliwych strojach wyglądały jak bukiet ogni sztucznych.

Gdy wchodziły do kościoła, doszło do zbiegowiska. Ludzie napierali, kręcili się i popychali, aby je zobaczyć. Dewotki mówiły prawie głośno, osłupiałe na widok dam w gali świetniejszej niż ornaty kościelne. Mer zaofiarował swą ławkę, pierwszą ławkę na prawo przy prezbiterium. Pani Tellier zajęła tam miejsce ze swą szwagierką, Fernandą i Rafaelą. Róża Klaczka i obydwie Sikawki zajęły w towarzystwie stolarza ławkę następną.

Prezbiterium napełniało się klęczącymi dziećmi, po jednej stronie chłopcy, po drugiej dziewczęta, a długie świece, które dzieci trzymały w rękach, były podobne do włóczni, pochylonych na wszystkie strony.

Trzech mężczyzn stojących przed pulpitem śpiewało pełnym głosem. Przedłużali w nieskończoność zgłoski dźwięcznej łaciny, wieńcząc każde amen długim a-a-a, które serpent⁶ podtrzymywał swą nutą monotonną, powtarzaną bez końca, huczącą w mosiężnym instrumencie o szerokiej paszczy. Odpowiadał przenikliwy głos dziecka. Od czasu do czasu podnosił się ksiądz, siedzący w stallach z głową nakrytą kwadratowym biretem, coś mruczał i siadał ponownie. Trzej śpiewający odpowiadali mu natychmiast, mając oczy utkwione w grubej, otwartej księdze śpiewów gregoriańskich, leżącej przed nimi na rozpostartych skrzydłach drewnianego orła, obracającego się na osi pulpitu.

Potem nastąpiła cisza. Wszyscy obecni padli jak jeden mąż na kolana. Ukazał się stary i czcigodny celebrant z siwizną na włosach, pochylony nad kielichem, który niósł w lewej ręce. Przed nim szli dwaj ministranci w czerwonych komeżkach, a za nim pojawiło się wśród stapania ciężkich trzewików mnóstwo śpiewaków kościelnych w grubych butach. Ustawili się dwoma szeregami po obydwu stronach prezbiterium.

Wskroś wielkiej ciszy zadźwięczał dzwoneczek. Rozpoczęła się msza święta. Kapłan krążył powoli przed złotym tabernakulum, przyklękał i śpiewał, psalmodiując łamiącym się i drżącym od starości głosem modlitwy przygotowawczej. Gdy milkł, śpiewający kościelni z towarzyszeniem serpentu wybuchali natychmiast śpiewem, a wierni w kościele śpiewali również, lecz ciszej i skromniej, jak przystało zwykłym uczestnikom nabożeństwa.

Znienacka wytrysnęło ku niebu *Kyrie elejson*, wydobywszy się ze wszystkich piersi i ze wszystkich serc. Szczypty kurzu i zgoła drzazgi próchniejącego drewna spadły ze starego sklepienia, wstrząśniętego przez eksplozję głosów. Słońce, którego razy godziły w łupkową dachówkę, uczyniło w małym kościele piekielny żar. Wielkie wzruszenie i trwożne oczekiwanie na nadejście niewysłowionej tajemnicy ogarnęło serca dzieci i ścisnęło gardła matek.

Kapłan, który usiadł był na czas niejaki, postąpił z powrotem ku ołtarzowi i z obnażoną głową pokrytą srebrzystymi włosami, z drżącymi rękoma przygotowywał się do aktu nadprzyrodzonego.

Obrócił się ku wiernym i wyciągając ku nim ramiona wyrzekł: – *Orate, fratres*, módlcie się, bracia. – Modlili się wszyscy. Stary proboszcz szeptał teraz po cichu słowa tajemnicze i

ostateczne. Dzwoneczek dźwięczał raz za razem. Tłum przyzywał Boga upadłszy na kolana. Dzieci omdlewały niemal z niezmierniej trwogi.

Wtedy właśnie Róża, ukrywając czoło w dłoniach, przypomniała sobie nagle matkę, kościół we wsi rodzinnej i swą pierwszą komunię świętą. Wydało jej się, że powróciła do owego dnia, gdy była taka mała, że po prostu ginęła w białej sukience. Poczęła płakać. Z początku płakała cichutko, a łzy z wolna wypływały jej spod powiek. Wzruszenie spotęgowało się w miarę wspomnień, gardło nabrzmiało i pierś zatrzepotała. Poczęła łkać. Wyciągnęła chusteczkę i ocierała nią łzy, zatykała sobie nos i usta, aby nie krzyknąć. Wszelkie wysiłki były jednak daremne. Z jej gardła wydobywał się rodzaj rżenia, a odpowiedziały mu dwa westchnienia głębokie i rozdzierające, gdyż obydwie sąsiadki, Ludwika i Flora, które klęczały przy Różce, łkały również wśród potoków łez, ogarnięte tymi samymi wspomnieniami.

A że łzy są zaraźliwe, przeto z kolei Madame poczuła wilgoć na powiekach. Obróciła się ku swej szwagierce i wtedy spostrzegła, że już wszyscy w ławce płakali.

Kapłan stwarzał Ciało Boże. Dzieci, powalone jakimś strachem pobożnym na posadzkę, utraciły wszelką myśl. W kościele tu i ówdzie jakaś kobieta, jakaś matka, jakaś siostra, porwana niezwykłością przesywających wzruszeń i wzburzona widokiem pięknych dam, które trwały na klęczkach trzęsąc się w dreszczach i czkawce, zraszała łzami cycową chusteczkę w kraty i lewą ręką przyciskała gwałtownie łomocące w piersi serce.

Niby iskra wśród dojrzałych pól płacz Różki i jej towarzyszek objął w jednej chwili cały tłum. Wkrótce wszyscy zaczęli szlochać – mężczyźni, kobiety, starcy i młodzieńcy w nowych bluzach, a ponad głowami zdawało się unosić coś niezmiernego, jakiś duch, jakieś cudowne tchnienie istoty niewidzialnej i wszechmocnej.

W prezbiterium rozległo się suche stuknięcie. To zakonnica, uderzywszy w modlitewnik, dawała sygnał do komunii świętej i rozgorączkowane pobożnym nastrojem dzieci przybliżyły się do Stołu Pańskiego.

Wszystkie przyklekły szeregami. Stary proboszcz, trzymając w ręku cyboryum z pozłacanego srebra, chodził pomiędzy nimi, podając każdemu w dwu palcach poświęconą hostię. Ciało Chrystusowe, odkupienie świata. Otwierały usta ze spazmem i nerwowym grymasem, oczy miały zamknięte, a twarze pobladłe. Długi obrus rozpostarty pod dziecięcymi brodami drgał jak płynąca woda.

Po kościele przebiegło nagle coś jakby obłęd, zgiełk oszalałego tłumu, burza łkań i zduszonych okrzyków. Szło to jak pochylające las uderzenie wiatru. Kapłan przystanął nieruchomy z hostią w ręku, obezwładniony wzruszeniem i powtarzał sobie: „Oto Bóg, oto Bóg, który jest między nami, który ukazuje swą obecność, który zstępuje na mój głos do klęczącego ludu”. I w gwałtownym porywie słał ku niebu szalone modlitwy, dla których nie mógł znaleźć słów: modlitwy duszy.

Nim skończył rozdawanie komunii świętej, doszedł do tak wielkiego wzburzenia religijnego, że nogi uginały się pod nim, a kiedy sam wypił Krew Pańską, pogrążył się w nieprzytomnym dziękczynieniu.

Za jego plecami lud uspokajał się z wolna. Śpiewacy kościelni w glorii swych białych komż odpowiadali głosem nie tak już pewnym, nabrzmiętym jeszcze wzruszeniem, a i serpent zdawał się brzmieć ochryple, jak gdyby nawet instrument był płakał.

Celebrant podniósłszy ręce uczynił znak milczenia i przeszedłszy pomiędzy dwoma szeregami pogrążonych w radosnym zachwyceniu komunikantów, zbliżył się do balustrady prezbiterium.

Zebrani usiedli, czyniąc hałas krzesłami. W tejże samej chwili wszyscy potężnie ucierali nosy. Gdy spostrzeżono proboszcza, zapadło milczenie, a on zaczął przemawiać głosem nadzwyczaj cichym, wahającym się i stłumionym.

– Najmilsi bracia i siostry! Dziękuję wam z głębi serca. Oto darzycie mnie chwilą najpiękniejszej radości w moim życiu. Czuję Boga, który zstąpił ku wam na moje

wezwanie. Przybył do was, był tu obecny, ogarnął wasze dusze i przepęłnił łzami wasze oczy. Jestem najstarszym kapłanem w diecezji, a dziś mogę się uznać za najszcześniejszego. Dokonał się cud pomiędzy nami, prawdziwy, wielki, wzniosły cud. Podczas gdy Jezus Chrystus przenikał po raz pierwszy do ciał tych dzieci, Duch Święty, ów ptak niebieski, tchnienie Boże, spadł na was, zawładnął wami, pochwycił was i ugiął jak trzciny pod uderzeniem wiatru.

Potem zwrócił się ku dwu ławkom, w których siedziały zaproszone przez stolarza panie, i mówił głosem już pewniejszym:

– Dziękuję zwłaszcza wam, najmilsze siostry, przybyłe z tak daleka, żeście swą obecnością między nami, swą jawną wiarą i żywą pobożnością dały wszystkim zbawienny przykład. Służycie ku zbudowaniu mojej parafii, bo wasze wzruszenie natchnęło wszystkie serca ciepłem. Gdyby was nie było, ten wielki dzień nie nabrałby – być może – charakteru prawdziwie boskiego. Czasem dość jest jednej wybranej owieczki, aby Pan postanowił zstąpić ku swej trzodzie.

Głos odmówił mu posłuszeństwa. Dodał tylko: – Życzę wam łaski Boskiej. Amen. – I powrócił do ołtarza, ażeby dokończyć nabożeństwa.

Teraz wszyscy śpieszyli do domu. Ruch panował nawet wśród dzieci, znużonych długim napięciem umysłów. Były zresztą głodne i rodzice, wysuwali się jedni za drugimi, nie doczekawszy ostatniej ewangelii. Wypadło im jeszcze pokonać przygotowania do posiłku.

Przy wyjściu powstał tłok hałaśliwego tłumu, zgiełk krzykliwych głosów ze śpiewnym akcentem normandzkim. Ludzie rozstąpili się na dwie strony tworząc szpaler, a gdy się pojawiły dzieci, każda rodzina rzucała się na swoje.

Konstancję pochwycił, otoczył i ucałował cały fraucymer pani Tellier, zwłaszcza zaś Róża nie mogła się od niej oderwać. Na koniec ujęła ją za jedną rękę, podczas gdy Madame zawładnęła drugą. Rafaela i Fernanda uniosły jej długą sukienkę z muślinu, aby się nie wlokła po ziemi. Ludwika i Flora razem z panem Rivet zamykały pochod i dziecko, skupione i przejęte do głębi Bogiem, którego niosło w sobie, ruszyło naprzód w otoczeniu tej eskorty honorowej.

Poczęstunek podano w warsztacie, ustawivszy długie deski na krzyżakach.

Przez otwarte drzwi, które wychodziły wprost na drogę, wpadała radość całej wsi. Raczone się wszędzie. Przez każde z okien można było dojrzeć odświętnie przyodzianych biesiadników i usłyszeć okrzyki podchmielonych rodzin. Chłopi bez marynarek pili szklankami nie rozcieńczony cydr, a wśród każdego grona widać było po dwoje dzieci: tu dwie dziewczynki, tam dwu chłopców, obiadujących u jednej z dwu rodzin.

W ciężkim upale południa przemierzał niekiedy wieś podskakujący za truchtem starej szkapę szaraban, a powożący nim człowiek w bluzie rzucał zazdrosne spojrzenie na ukazującą się jego oczom hulankę.

W domu stolarza wesołość zachowała pewien ton powściągliwości, pozostałość po wzruszeniach porannych. Jedyne Rivet był w świetnym nastroju i pił bez miary. Pani Tellier spoglądała co chwila na zegar. Aby zakład nie był zamknięty przez dwa dni z rzędu, należało o godzinie 3.55 złapać pociąg, który by je dowiózł do Fécamp pod wieczór.

Stolarz czynił wszelkie wysiłki, aby odwrócić jej uwagę i zatrzymać swych gości do jutra, jednakże Madame nie dawała się zagadać. Nie żartowała nigdy, gdy chodziło o interesy.

Zaledwie wypito kawę, nakazała swym pensjonariuszkom zbierać się jak najszybciej do drogi, a zwracając się do swego brata powiedziała: – Ty, masz zaprzęgać natychmiast. – I sama odeszła, aby dokonać ostatnich przygotowań do odjazdu.

Gdy powróciła, szwagierka oczekiwała już na nią, aby pomówić o małej. Odbyła się długa rozmowa, w której niczego nie postanowiono. Chłopka z udaną czułością kręciła się, jak umiała, a pani Tellier, która trzymała dziecko na kolanach, nie zobowiązywała się do niczego, obiecując niejasno, że trzeba się będzie małą zająć, ale jest dość na to czasu, a zresztą –

jeszcze się zobaczymy.

Tymczasem ani wózek nie zajeżdżał, ani kobiety nie schodziły na dół. Z góry było za to słycać potężne śmiechy, popychanie się, wybuchające okrzyki i klaskanie w ręce. Gdy więc małżonka stolarza poszła do stajni, aby zobaczyć, czy pojazd jest gotów, Madame wreszcie sama udała się na górę.

Zupełnie pijany i na pół rozebrany Rivet daremnie usiłował zgwałcić Różę, która konała ze śmiechu. Obydwie Sikawki trzymały go za ramiona i usiłowały uspokoić, uważając tę scenę za rażącą na tle porannej uroczystości. Jednakże Rafaela i Fernanda, które skręcały się z uciechy i brały się za boki ze śmiechu, podzęgały Riveta, wydając z siebie ostre okrzyki przy każdym bezużytecznym wysiłku pijanego. Mężczyzna wściekły, poczerwieniały na twarzy i zupełnie rozmemłany, otrząsał gwałtownymi ruchami obydwie czepiające się go kobiety i podciągał ze wszystkich sił suknię na Różę, bełkocząc: – Ty flądro, dlaczego nie chcesz? – Oburzona Madame rzuciła się naprzód, chwyciła swego brata za barki i cisnęła nim za drzwi tak gwałtownie, że uderzył sobą o ścianę.

W minutę później usłyszano z dziedzińca, jak Rivet pompował sobie wodę na głowę, a gdy ukazał się ze swoim wózkiem, był już zupełnie spokojny.

Ruszono w drogę powrotną tak samo jak dnia poprzedniego, a biały konik pobiegł znowu swoim klusem żywym i tanecznym.

Pod gorejącym słońcem ujawniła się radość, przytłumiona w czasie posiłku. Dziewczęta radowały się teraz wstrząsami landary, popychając nawet umyślnie krzesła sąsiadek; co chwila wybuchały śmiechem, podniecone już zresztą daremnymi zakusami Riveta.

Wesołe światło napełniało pola, światło, które mieniło się w oczach, a koła podnosiły dwie smugi kurzu, który długo polatywał za wozem po gościńcu.

Naraz Fernanda, wielbicielka muzyki, poprosiła Różę, aby coś zaśpiewała, wobec czego ta ostatnia raźnie zaintonowała *Grubego proboszcza z Meudon*. Jednakże Madame natychmiast nakazała jej milczenie, uznawszy tę piosenkę za niestosowną w dniu dzisiejszym. – Zaśpiewaj nam raczej coś z Bérangera – dodała. Róża wahała się przez kilka sekund, a wreszcie dokonawszy w myśli wyboru, poczęła swym zdartym głosem *Babunię*.

Babcia na swoje imieniny
 przebrała miarkę, pijąc miód,
 kiwała głową z tej przyczyny,
 mówiąc: kochanków miałam w bród!
 Pulchne ramiona
 i nóżki swe
 niepocieszona
 choć wspomnieć chcę!

Chór dziewcząt, dyrygowany przez samą Madame, podjął:

Pulchne ramiona
 i nóżki swe
 niepocieszona
 choć wspomnieć chcę!

– Tak, to się udało – oświadczył Rivet podniecony rytmem. Róża od razu śpiewała dalej:

Więc nie szłaś, babciu, drogą cnoty?
 Och, nie! Piętnasty kończąc rok
 już dałam wdziękom dość roboty,

nie mogłam spać, gdy zapadł zmrok.

Wszyscy razem zawyli refren, a Rivet uderzał nogą w nasadę dyszla i wybijał lejcami takt na grzbiecie białego konika, który przeszedł w galop, jakby i jego porwało rytmiczne uniesienie, w galop burzliwy, zrzucający panie na kupę w tyle pojazdu.

Wstawały, śmiejąc się jak szalone. Piosenka szła dalej, wyrzaskiwana na całe gardło wskroś pól pod rozpalonym niebem, w obliczu dojrzewających zbóż, przy wściekłym biegu małego konika, który ponosił teraz przy każdym powrocie refrenu i pędził za każdym razem ze sto metrów galopem ku wielkiej ucieście jadących.

Tu i ówdzie człowiek tłukący kamienie podnosił głowę i spoglądał przez swą drucianą siatkę na rozhukany i wrzaskliwy wózek, unoszony wśród kurzu.

Gdy zajechano przed dworzec, stolarz rozczulił się.

– Szkoda, że odjeżdżacie – powiedział. – Byłaby taka ładna zabawa.

Madame odpowiedziała mu rozsądnie:

– Każda rzecz ma swój właściwy czas. Zabawa nie może trwać wiecznie. – Wtedy pewna myśl błysnęła w głowie Riveta.

– Wiecie co, odwiedzę was w Fécamp na przyszły miesiąc – powiedział i rzucił na Różę spojrzenie przebiegłe i łobuzerskie.

– No, no – zakończyła Madame – należy mieć rozsądek. Przyjedziesz, jeżeli zechcesz, ale nie będziesz wyprawiał żadnych głupstw.

Stolarz nie odpowiedział. Gdy dało się słyszeć gwizdanie pociągu, poczał natychmiast całować wszystkie kobiety. Kiedy przyszła kolej na Różę, uwziął się, aby odnaleźć jej usta, jednakże ona, śmiejąc się z zaciśniętymi wargami, za każdym razem odwracała się szybkim ruchem na bok. Trzymał ją w ramionach, ale nie mógł osiągnąć celu, gdyż przeszkadzał mu w tym wielki bat, który dzierżył w ręku i którym przy swych usiłowaniach poruszał desperacko za plecami dziewczyny.

– Podróźni do Rouen, proszę wsiadać! – wykrzyknął kolejarz. Więc wszystkie wsiadły.

Rozległ się cienki gwizd, powtórzony natychmiast przez potężne gwizdanie lokomotywy, która wypluła z hałasem pierwszy bryzg pary, podczas gdy koła poczęły się obracać powoli i z widocznym wysiłkiem.

Rivet opuścił peron i pobiegł ku szlabanowi, aby jeszcze raz ujrzeć Różę. A gdy wagon pełen ludzkiej ciżby przesuwiał się przed nim, jął strzelać z bata, podskakiwać i śpiewać, ile sił stało:

Pulchne ramiona
i nóżki swe
niepocieszona
choć wspomnieć chcę!

Później patrzył za oddalającą się i powiewającą białą chusteczką.

3

Aż do przybycia na miejsce spały spokojnym snem, jaki daje czyste sumienie, a gdy odświeżone i pełne nowych sił do cowieczornej pracy znalazły się w domu, Madame nie mogła się powstrzymać od wyznania:

– Bądź co bądź stęskniłam się za domem.

Wieczorzano w pośpiechu i przywdziawszy bojowy strój czekano na stałych klientów. Mała latarenka była zapalona, mała latarenka obwieszczała przechodniom, że trzódka powróciła do owczarni.

Wieść o tym rozeszła się w mgnieniu oka nie wiadomo jak i nie wiadomo za czym

pośrednictwem. Pan Philippe, syn bankiera, posunął uprzejmość aż tak daleko, że przez umyślnego posłańca przekazał wiadomość panu Tournevau, uwięzionemu w swej rodzinie.

Solarz ryb miał akurat, jak w każdą niedzielę, kilka osób z rodziny na obiedzie. Towarzystwo było właśnie przy kawie, gdy ukazał się człowiek z listem w ręku. Niezwykle zdumiony pan Tournevau rozerwał kopertę i zbladł. List zawierał jedynie te słowa, napisane ołówkiem: „Ładunek fłader odnaleziony. Statek wszedł do portu. Dobry interes dla pana. Przybywaj pan szybko”.

Pan Tournevau poszperał w kieszeniach, dał posłańcowi dwadzieścia centymów i zaczerwienił się nagle aż po uszy.

– Muszę wyjść – rzekł, podając żonie lakoniczny i tajemniczy bilecik. Zadzwoił na służącą i powiedział: – Płaszcz i kapelus, tylko prędko, prędko!

Ledwie znalazłszy się na ulicy, począł biec pogwizdując jakąś melodię, a droga wydała mu się dwa razy dłuższa, tak żywa nurtowała go niecierpliwość.

Zakład pani Tellier miał widok odświętny. Na parterze hałaśliwe głosy ludzi z portu składały się na ogłuszającą wrzawę. Ludwika i Flora nie wiedziały, komu podawać, piły to z jednym, to z drugim, zasługując bardziej niż kiedykolwiek na przydomek „dwu Sikawek”. Wzywano je ze wszystkich stron jednocześnie, tak że nie mogły nastarczyć potrzebom. Noc zapowiadała się dla nich pracowicie.

Zgromadzenie na pierwszym piętrze było w komplecie, poczynając już od godziny dziewiątej. Pan Vasse, sędzia trybunału handlowego, wzdychając od dawna, acz platonicznie do Madame, rozmawiał z nią cicho w kąciku. Obydwoje uśmiechali się do siebie, jakby mieli dojść za chwilę do porozumienia. Pan Poulin, były mer, posadził sobie okrakiem na kolanach Różę, a ta patrzyła mu w oczy i wodziła krótkimi rękami po srebrnych faworytach pocziwiny. Kawalek obnażonego uda wyglądał spod podniesionej sukni z żółtego jedwabiu, odcinając się od czarnego sukna spodni, a na czerwonych pończochach widniały obciskające je lila podwiązki, dar komiwojażera.

Wielka Fernanda rozciągnęła się na sofie, ułożywszy obie nogi na brzuchu pana Pimpesse, poborcy skarbowego, a korpus na kamizelce młodego pan Philippe i zarzuciwszy prawą rękę temu ostatniemu na szyję trzymała w lewej papierosa.

Rafaela zdawała się toczyć pertraktacje z panem Dupuis, agentem ubezpieczeniowym. Zakończyła rozmowę słowami:

– Dobrze, mój drogi, dziś wieczorem, zgadzam się. – A potem, dokonawszy kilku solowych obrotów walca poprzez salon, wykrzyknęła: – Dziś wieczorem co kto chce!

Drzwi rozwarły się raptownie i ukazał się pan Tournevau. Wzniesiono z zapalem okrzyk: – Niech żyje pan Tournevau! – a Rafaela, nadal obracając się wokoło, przypadła mu do piersi. Pochwyił ją straszliwym uściskiem i nie mówiąc ani słowa uniósł z ziemi jak piórko. Przeszedłszy przez salon, dopadł drzwi i wśród ogólnego poklasku zniknął na schodach do pokoi ze swym żywym brzemieniem.

Róża, która rozpałała już byłego mera całowaniem raz po raz i pociąganiem za obydwie faworyty jednocześnie, aby się głowa prosto trzymała, skorzystała z przykładu.

– No, zrób tak samo jak on – powiedziała. Natenczas pocziwina wstał, doprowadził do ładu swą kamizelkę i podreptał za dziewczyną, sięgając po drodze do kieszeni, gdzie drzemały pieniądze.

Gdy Fernanda i Madame pozostały same z czterema mężczyznami, pan Philippe zawołał:

– Stawiam szampana. Madame, proszę posłać po trzy butelki.

Fernanda objęła go i spytała na ucho:

– Słuchaj, zagraj nam do tańca, dobrze?

Pan Philippe powstał, zasiadł przed drzemającym w kącie odwiecznym szpinetem i wydobył z jękliwych wnętrzości maszyny ochryplego i płacznego walca. Wielka Fernanda objęła poborcę skarbowego, Madame oddała się ramionom pana Vasse. Obydwie pary

wirowały, wymieniając uściski. Pan Vasse, który tańczył ongi w towarzystwie, stroił wdzięczne miny, a Madame spoglądała nań okiem przychylnym, okiem, które mówi „tak” dyskretniej i rozkoszniej aniżeli słowo.

Fryderyk przyniósł szampan. Gdy strzelił korek, pan Philippe odegrał zaproszenie do kadryla.

Czwórka tancerzy stawiała kroki na sposób światowy, obyczajnie, godnie, przestrzegając form, wśród pochyleń i ukłonów.

Potem zabrano się do picia. Właśnie ukazał się pan Tournevau. Był zadowolony, lekki i promienny.

– Nie wiem, co się stało Rafaeli – zawołał – ale jest dzisiaj wspaniała. – Gdy mu podano kieliszek, opróżnił go jednym haustem, szepcząc: – U licha, co za zbytek!

Pan Philippe natychmiast zagrał żywą polkę, a pan Tournevau porwał się do tańca z Rafaelą, trzymając ją dosłownie w powietrzu i nie pozwalając jej dotykać nogami ziemi. Panowie Pimpesse i Vasse zaczęli tańczyć z nowym zapałem. Od czasu do czasu któraś z par zatrzymywała się przed kominkiem, aby wychylić kielich pienistego wina. W powietrzu zawisła już groźba, że ten taniec przedłuży się w nieskończoność, gdy Róża z lichtarzykiem w rękę uchyliła drzwi. Była z gołą głową, w pantoflach i koszuli, ożywiona i zaczerwieniona.

– Ja chcę tańczyć – zawołała.

– A twój stary? – spytała Rafaela.

– Już śpi. Usypia od razu – odpowiedziała Róża z głośnym śmiechem. Pochwyciła pana Dupuis, siedzącego beczynnym na sofie i polka rozpoczęła się na nowo.

Tymczasem butelki ukazały dno.

– Ja stawiam jedną – rzekł to pan Vasse.

– Ja również – oświadczył pan Tournevau.

– Ja tak samo – zakończył pan Dupuis, a wszyscy przyklasnęli z uznaniem. Gdy sprawy poszły taką koleją, powstał prawdziwy bal. Nawet Ludwika i Flora z pośpiechem wbiegały od czasu do czasu na górę, aby krótko pokręcić się w walcu, a na dole ich klienci wpadali w złość. Potem wracały pędem na dół z sercem pełnym żalu.

O północy wciąż jeszcze tańczono. Czasami znikła któraś z dziewcząt, a gdy jej poszukiwano, kiedy potrzebna była do figury w tańcu, spostrzegano się nagle, że zabrakło któregoś z mężczyzn.

– Gdzieście byli? – zapytał żartobliwie pan Philippe pana Pimpesse, w chwili gdy ten powrócił z Fernandą.

– Poszliśmy zobaczyć, jak śpi pan Poulin – odrzekł poborca. Ten żart miał ogromne powodzenie. Wszyscy kolejno udawali się zobaczyć, jak śpi pan Populin, przy czym zabierali z sobą którąś z dam, okazujących tej nocy niepojętą łaskawość. Madame przymykała oczy. Sama zresztą toczyła z panem Vasse długie rozmowy na stronie, jakby dla ustalenia ostatnich szczegółów sprawy już ułożonej.

Na koniec, o godzinie pierwszej, dwaj mężczyźni żonaci, pan Tournevau i pan Pimpesse, oświadczyli, że odchodzą, i chcieli uregulować rachunek. Policzono im tylko za szampan, i to zaledwie po sześć franków za butelkę – zamiast dziesięciu, zwykłej ceny. Gdy dziwili się tej hojności, rozpromieniona Madame odparła:

– Przecież nie co dzień mamy święto.

Korekta: Małgorzata Suchocka